

BLUSZCZ



WARSZAWA, 15 MAJA 1926 ROKU

Bardzo ważne!

Bardzo ważne!

OD ADMINISTRACJI

PROSIMY O UREGULOWANIE ZALEGŁOŚCI W PRENUMERACIE ZA UBIEGŁY MIESIĄC, ORAZ
NADEŚLANIE PRENUMERATY ZA MAJ R. B.

PRENUMERATA JEST PŁATNA Z GÓRY!

WSZYSTKIM ZALEGAJĄCYM Z PRENUMERATĄ PO DNIU 8 B. M. DALSZĄ WYSYŁKĘ PISMA
BEZWARUNKOWO WSTRZYMAMY.

Ze względu na to, że z powodów od nas niezależnych wysłane przez nas numery „BLUSZCZU”
giną na pocście, prosimy, w razie nieotrzymania numeru do soboty każdego tygodnia, natychmiast
wnieść reklamację w odnośnym urzędzie pocztowym. Reklamacyj nie wniesionych do siedmiu dni
od chwili nie otrzymania numeru, uwzględniać nie będziemy.

Baczność Matki!Baczność Matki!

8 M A J A

WYJDZIE Z DRUKU

PIERWSZY NUMER DWUTYGODNIKA

„DZIECKO I MATKA”

Dwutygodnik ten, którego współpracownikami są wybitni lekarze,
pedagodzy oraz specjaliści w wychowaniu dziecka w okresie przed-
szkola, będzie poświęcony sprawom wychowania i zdrowia dziecka
do 7-miu (prospekt dołączyliśmy do poprzedniego numeru).

Każdy numer w barwnej okładce, bogato ilustrowany,
z dodatkami t. j. tablicą krojów ubrań dziecięcych, względnie kro-
jami bibułkowymi **kosztować będzie: pojedynczo 60**
gr.; w prenumeracie miesięcznej z przesyłką —
tylko 50 gr.; kwartalnej — 45 groszy.

Najlepiej przesłać prenumeratę kwartalną w kwocie 2 zł. 70 gr. lub
ostatecznie miesięczną w kwocie 1 zł. czekiem P. K. O. Nr. 12.900.
Numery okazowe wysyłać będziemy po nadesłaniu znaczków poczt-
towych za 50 gr. do

Administracji „DZIECKA i MATKI”

Warszawa, Krakowskie Przedmieście 99.

Czek P. K. O. dołączyliśmy
do Nr. 18 „Bluszcza”.



ROK LIX

№ 20

PRZEGŁĄD KOBIECY

WARSZAWA, 15 MAJA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Międzynarodowy kongres w Paryżu—*Z. Bogórska*. Czy i mienny czytać?—*C. Wołowska*. Zagadnienie popularyzacji muzyki—*J. R. Marja Dąbrowska* i „Ludzie stamtąd” (dok.)—*Wanda Borudzka*. Wiersze: „Przedwiośnie”—*Lucjen André*. Kamień probierczy—*R. L. Stevenson* (przekład *Z. Grabowskiego*). Przemarsz ułanów (dok.)—*Marja Dunin-Kozicka*. Krystyna Rossetti (dok.)—*Z. Reutt-Witkowska*. Córka Boga (c. d.)—*Z. Zawiszancka*. Wspomnienie o ś. p. Izabeli Zbiegniewskiej—*Uczennica A. Ostrzycka*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B. Zjazd Koła Polek i jego dyrektywy*. Dział praktyczny: Mody i roboty. Różne rodzaje frendzli. Sporty letnie—*W. D.* I znów reminiscencje—*V...ka*. Z dziedziny kosmetyki—*Dr. J. Świtalska*. Dwadzieścia lat zbożnej pracy—*Pani Elżbieta*. Z teki mojej babki. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jaremkka i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.)—*Hugh Walpole* (tłum. z angielskiego *Irena Wasutyńska*). ARKUSZ WZORÓW.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES W PARYŻU



przeciągu najbliższych kilku miesięcy odbędą się dwa wielkie międzynarodowe kongresy kobiece, na których poruszane będą zagadnienia bardzo doniosłe pod względem społecznym i politycznym. Od dnia 30 maja do 7 czerwca roku bieżącego obradować będzie w Paryżu X-ty Kongres Międzynarodowego Związku Równouprawnienia Kobiet (International Women's Suffrage Alliance)—jednej z najliczniejszych i najpotężniejszych międzynarodowych organizacji kobiecych, liczącej 43 oddziały w poszczególnych krajach cywilizowanego świata.

Program obrad kongresu w ogólnych zarysach przedstawia się jak następuje:

1. Otwarcie kongresu. Przemówienie prezydentki Międzynarodowego Związku Równouprawnienia Kobiet, p. Gorbett-Ashby, która przedstawi zebranym obecny stan sprawy kobiecej we wszystkich krajach i zobrazuje wyniki pracy Związku, osiągnięte w przeciągu trzech lat ostatnich (od czasu ostatniego kongresu, który się odbył w 1923 roku w Rzymie).

2. Sprawozdania poszczególnych Komitetów. Przewodniczące Komitetów, obranych przez Kongres rzymski w celu rozpatrzenia poszczególnych zagadnień, zdadzą sprawę z czynności tychże Komitetów i przedstawią Kongresowi opracowane przez siebie wnioski.

P. Chrystal Maomillan, przewodnicząca Komitetu do spraw określenia przynależności państwowej kobiet zamężnych, mówić będzie o nowych prawach, obowiązujących w Szwecji i Norwegji, i projektach ustaw, opracowywanych obecnie w Danji, Finlandji,

Francji, Niemczech i imperjum Brytyjskiem; przedstawi stan tej sprawy w świetle obrad Ligi Narodów, oraz omówi projektowaną Konferencję Międzynarodową, której celem będzie opracowanie ogólnej międzynarodowej konwencji w tej sprawie.

P. Eleonora Rathbene, przewodnicząca Komitetu do spraw uposażeń państwowych dla rodzin, przedstawi systemy uposażeniowe, istniejące w Australji, Austrii, Belgji, Francji, Niemczech i t. d. i omówi celowość tych systemów, oraz ich ewentualne wady i braki.

P. Arenhoit, z ramienia Komitetu Pracy, omawiać będzie palącą kwestję uzyskania dla kobiet faktycznego równouprawnienia na terenie pracy zawodowej, w myśl hasła „Równa płaca za równą pracę”. Przewidywaną jest dyskusja nad pożytecznością i celowością ustaw ochronnych, regulujących pracę kobiet i małoletnich. (Wiele stowarzyszeń kobiecych, jak wiadomo, wypowiada się bardzo ostro przeciwko tym ustawom, uważając je za jedną z wielu form ograniczenia praw kobiety, zmierzającą jedynie do utrudnienia jej i tak już bardzo ciężkich warunków pracy zawodowej).

P. Schreiber-Krieger, z ramienia Komitetu do spraw dzieci nieślubnych, przedstawi odnośnie do tej sprawy stan ustawodawstwa w różnych krajach i wysunie projekty reform, zmierzających w równej mierze do zabezpieczenia losu tych niewinnych istot, jak i do ochrony nienaruszalności świętych instytucji małżeństwa i rodziny.

Dr. Paulina Luisi, przewodnicząca Komitetu do zwalczania zasad podwójnej moralności, mówić będzie o wysiłkach, podejmowanych przez Związek w celu zniesienia hańbiących ustaw reglamentacyj-

nych, przedstawi rezultaty prowadzonej akcji przeciw nerycznej, etc.

3. Właściwe obrady Kongresu; oprócz dyskusyj nad wyżej wymienionymi referatami obejmować będą debaty nad zagadnieniami następującymi:

1) Sprawa uzyskania równouprawnienia w krajach, gdzie kobiety nie posiadają jeszcze praw obywatelskich. Obrady nad tą kwestją toczyć się będą pod przewodnictwem pani Brunschwig, prezeski oddziału międzynarodowego Związku Równouprawnienia Kobiet we Francji. W dyskusji nad tym tematem będą brane przede wszystkim pod uwagę dwa zagadnienia: a) czy kobiety, nie mające jeszcze praw obywatelskich, powinny brać czynny udział w pracy stronnictw politycznych? b) czy otrzymanie prawa głosu w wyborach do ciał municypalnych jest krokiem naprzód, czy też przeszkodą w kierunku uzyskania całkowitego równouprawnienia?

2) Delegatki krajów, w których kobiety cieszą się już prawami obywatelskimi, zdadzą sprawę z działalności swych przedstawicielek w ciałach ustawodawczych, przedstawiają uzyskane przez nie reformy i zmiany w ustawodawstwie, itd., poczem nastąpi dyskusja zasadnicza nad wytycznymi, w kierunku których powinna zmierzać praca kobiet - posłanek we wszystkich krajach cywilizowanego świata.

3) Następnym punktem obrad będzie sprawozdanie z współpracy Związku z Ligą Narodów i Międzynarodowym Biurem Pracy, oraz dyskusja nad problemami: walki z handlem kobietami i dziećmi, opieki nad dzieckiem, ochroną zdrowia publicznego, policją kobiecą, współpracą umysłową narodów cywilizowanych itd.

W czasie Kongresu odbywać się będą również wiece publiczne na następujące tematy:

1) Współdział kobiet wszystkich krajów w akcji pacyfistycznej i współpraca ich z Ligą Narodów.

2) Społeczne i polityczne rezultaty równouprawnienia kobiet w różnych krajach.

3) Kodeks Napoleona, a kobiety krajów latyńskich.

4) Głosy wybitnych polityków i mężów stanu w obronie równouprawnienia kobiet.

Kongres zakończy wielka demonstracja pacyfistyczna, której przewodniczyć będzie prezydentka honorowa Związku, p. Chapman Catt.

Prezjdum Międzynarodowego związku Równouprawnienia Kobiet ogłosiło następujące oficjalne wezwanie do wszystkich organizacji kobiecych, pragnących wziąć udział w Kongresie, czyto w charakterze upoważnionych przedstawicielek poszczególnych oddziałów Związku, czy też w charakterze gości:

„Międzynarodowy Związek Równouprawnienia Kobiet zwraca się do swych 36 oddziałów narodowych, oraz do 7 nowych oddziałów, które zgłosiły swój akces do Związku, lecz nie zostały jeszcze do niego formalnie przyjęte, z wezwaniem do wysłania pełnej liczby upoważnionych delegatek na Kongres Międzynarodowy Związku. Zwracamy się również do wszystkich stowarzyszeń kobiecych, zarówno narodowych, jak i międzynarodowych, sympatyzujących z ce-

lami związku, o wysłanie przedstawicielek swych w charakterze gości. Wszystkim zaś poszczególnym zwolennikom równouprawnienia kobiet i bojownikom oń, zapewniamy jak najserdeczniejsze przyjęcie i możliwość wzięcia udziału w obradach Kongresu.

Zdawaćby się mogło, że od czasów ostatniego naszego Kongresu w Rzymie, sprawa kobieca posuwała się zaledwie o bardzo mały krok naprzód, znacznie mniejszy, niż w latach poprzednich. Możemy jednakże, pomimo to, poszczycić się kilkoma ważnymi zwycięstwami, odniesionymi na polu równouprawnienia, przede wszystkim w Nowej Anglii, gdzie kobiety po długiej walce uzyskały wreszcie prawa obywatelskie, aczkolwiek jeszcze nie na zupełnie jednakowych warunkach z mężczyznami. W Indiach angielskich trzy nowe prowincje przyznały kobietom równe prawa obywatelskie: Assam, Bengal i Prowincje Zjednoczone. Toż samo miało miejsce w prowincjach samodzielnych: Cochin i Mysore.

Dużym krokiem naprzód w kierunku równouprawnienia było udzielenie kobietom praw wyborczych do ciał municypalnych. Prawo to wchodzi obecnie w życie we Włoszech i Grecji, w Hiszpanji zaś jest już faktem dokonany. We Francji toczą się obrady nad projektem prawa wyborczego dla kobiet, słusznie więc możemy żywić nadzieję, że kobiety francuskie będą się mogły niedługo poszczycić wielkim zwycięstwem. Również i na innych polach pracy, objętych naszym programem, kobiety wykazują znaczny postęp: zrzeszając się coraz liczniej w pracy zawodowej; reformując prawa, które od szeregu wieków były źródłem krzywd i niesprawiedliwości; walcząc stale o równouprawnienie na polu ekonomicznym, oraz biorąc wybitny udział w życiu społecznym i politycznym swych krajów.

Czyż nie mamy zatem prawa powiedzieć, zwołując nasz Kongres Międzynarodowy, że chociaż fala triumfalnych zwycięstw na polu równouprawnienia była w tym okresie cokolwiek słabszą, to jednak sprawa kobieca posuwa się stale naprzód na obszarze całego cywilizowanego świata i żadne przeszkody nie powstrzymają już tego postępu w kierunku wolności i jednakowych praw dla całej ludności, które to hasło jest najważniejszą podstawą ideową naszego Związku.

Niemalą pomocą w naszej pracy było powstanie Ligi Narodów, której zawdzięczamy możliwość wzięcia udziału w pierwszych konkretnych wysiłkach, skierowanych ku zapewnieniu ludzkości pokoju powszechnego. Znamiennym jest fakt, że do tej pracy kobiety zostały dopuszczone zupełnie na równych prawach z mężczyznami, przez co dana nam została możliwość wykazania naszych uzdolnień do podejmowania czynności wysoce odpowiedzialnych. Sprawozdanie z naszej działalności w tej dziedzinie będzie należało do najbardziej zajmujących punktów programu Kongresu paryskiego.

W miarę jak z biegiem czasu Kongresy nasze stają się coraz liczniejsze, wzrasta również i różnorodność poruszanych na nich zagadnień. Na Kongresie paryskim będzie przede wszystkim rozważana sprawa najżywotniejsza, stanowiąca



podłoże całego naszego programu, t. j. kwestja uzyskania równouprawnienia w krajach, gdzie reforma ta nie została jeszcze przeprowadzoną. Dalej zastanawiać się będziemy nad sytuacją ekonomiczną kobiety w pracy zawodowej; nad koniecznością zwalczania hasel podwójnej moralności i związanej z tem sprawą walki z handlem kobietami i dziećmi; nad sprawą ustawodawstwa dla dzieci nieślubnych; kwestją przynależności państwowej kobiet zamężnych, oraz systemami państwowych uposażeń dla rodzin.

Wszystkie te problemy były już nieraz poruszane na naszych Zjazdach, są to jednak kwestje, wciąż się zmieniające z biegiem czasu i wymagające wciąż nowego rozważania zgodnie z naszymi pragnieniami. Wreszcie niepodobna wyobrazić sobie tak liczego zgromadzenia kobiecego, na którym nie byłaby poruszoną sprawą najważniejszą ze wszystkich, hasło, na którym jedynie oparty być może program naszej działalności: sprawa pokoju i zgody pomiędzy wszystkimi narodami świata.

Wezwanie na nasz kongres nie jest wezwaniem do spokojnego i radosnego rozważania odniesionych sukcesów. Jest to raczej wezwanie do wszystkich tych, którzy, rozumiejąc wartość wytrwałości i zgodnej współpracy, pragną dążyć niezwłocznie naprzód, ku zdobyciu Ziemi Obiecanej, gdzie panuje sprawiedliwość i dobra wola. Wierzmy, że przyjaciele nasi i towarzysze pracy nas nie zawiodą i pełne tej ufności wzywamy ich do przybycia —

zbliska, czy zdaleka — do miasta Światłości, Paryża — abyśmy stamtąd razem rzucili światu wezwanie, które przyczyni się do dalszego postępu sprawy kobiecej na drodze do nieuniknionego zwycięstwa."

* * *

Na Kongresie tym, gdzie zgromadzą się reprezentantki wszystkich narodów cywilizowanych, nie zabraknie z pewnością i przedstawicielki Polski. Wiemy, że w ostatnim Kongresie rzymskim brała udział nasza senatorka J. Szebekówna, której obecność okazała się tam niezmiernie pożądaną ze względu na konieczność sprostowania przeciwpolskiej agitacji wrogich nam żywiołów. Niewątpliwie i tym razem agitacja ta skorzystała ze sposobności, aby znów przedstawić Polskę w jak najgorszym świetle w opinii międzynarodowej. Dlatego też koniecznym jest udział delegatek polskich na wszystkich wielkich konferencjach kobiecych, chociażby program ich niezauważalnie pokrywał się z naszymi ideałami i zamierzeniami. „Les absents ont toujours tort.” Pamiętajmy o tej maksymie zdrowego rozsądku i nie zaniedbujmy nigdy żadnej okazji, by przypomnieć światu o istnieniu Polski, drogach jej rozwoju i prawach do samodzielnego bytu.

O kongresie Międzynarodowej Kobiecej Ligi Pokoju i Wolności napiszę w jednym z najbliższych numerów „Bluszczu”.

Z. Bogórska.

CZY UMIEMY CZYTAĆ?

W jakiejś ankiecie francuskiej na temat, czy literaci powinni pisać dla szerokiej publiczności, — ktoś, odpowiadając, podzielił czytelników na trzy kategorie. Pierwsza — bardzo nieliczna — tych, którzy, przeczytawszy książkę, zapamiętali treść jej, o ile im się podobała i nazwisko autora. Druga — ludzi, pamiętających treść książki, która ich zajęła, lecz nie będących w stanie przytoczyć nazwiska autora. Trzecia — najliczniejsza — czytelników, przypominających sobie bardzo mętnie treść każdego, choćby tylko przed chwilą skończonego utworu. O tytule i nazwisku twórcy mowy niema.

Tuby można dodać jeszcze czwarty rodzaj — przede wszystkim kobiet, niekiedy zadomowionych matek i dobrych gospodyń, a najczęściej — zdecydowanych flirtiarek, czy nawet półświatówek, uganających się za fabułą romansu, ale określających książkę jedynie według koloru okładki — żółtej, szarej, zielonej. Na jednolitej oprawie tomu z czytelnicy wystarcza numer, zapamiętany zresztą tylko wzrokiem.

Do jakiego stopnia dochodzi to zmechanizowane czytelnictwo, goniące tylko za intrygą i sensacją, bez uwzględnienia osobowości twórcy, bez doszukiwania się w słowach, którymi przemawia, jego własnej duszy, jego zewnętrznej i wewnętrznej istoty, — dowodzi fakt przytoczony w jednym z feljetonów „Gadu Gadu” Grubińskiego. Opowiada on, że — gdy przed dwoma laty jeszcze — nasza chluba, stróż i sędzia sumienia narodowego, Żeromski, wybiwszy w tramwaju szybę przypadkiem, dał konduktorowi bilet swój wizytowy z adresem, aby wiedziano, gdzie go poszukiwać, — funkcjonariusz tramwajowy i wezwany policjant nie zorientowali się kogo mają przed

sobą. Nikt z publiczności, biorący żywy udział w sprawie, nie dopomógł w zestawieniu nazwiska na kartce z osobą genialnego twórcy. Jak najzwyczajniej szego śmiertelnika, zaprowadzono go do komisariatu, skąd po spisaniu protokołu dopiero został wypuszczony na wolność. A jednak wśród publiczności byli niechybnie ci, co czytali Popioły, Dzieje grzechu, Ludzi bezdomnych.

Szeroka publiczność — sfery robotnicze, rzemieślnicze o ile czytają, to najchętniej egzotykę, ale nazwiska autorów znają tylko wtedy, jeżeli stykają się z nimi: amymy na niwie pracy społecznej, czy partyjnej (jak np. z Sieroszewskim w P. P. S.). Zresztą także — o ile oświata pozaszkolna objęła pewne ich grupy.

Pamięć dla nazwisk ludzi piszących, a nawet już pewien krytyczny stosunek do dzieł ich zaczyna się u nas naogół już w sferze średniej inteligencji, zależnie od rodzaju i stopni umysłowości czytelników. Zwarte nasy pewnych grup wyższej inteligencji bywają bardzo wszechstronnie odcytane. Niejeden lekarz, prawnik, inżynier (używam rodzaju męskiego jedynie dla skrótu, wszystkie przesłanki jednak odnoszą się z natury rzeczy do płci obu), zdumiewa rozległością dziedzin, które obejmuje poza fachową swoją wiedzą. Chałubinski, jako lekarz genialny może ulec zapomnieniu, pozostanie jednak zawsze sławny, jako znawca Tatr, ich przyrody, obyczajów i gwary góralskiej. Matlakowski, chirurg pierwszorzędny, był fanatykiem sztuki ludowej, a potem zdobył sobie rozgłos pośmiertny, jako autor pomnikowego dzieła o Hamlecie szekspirowskim.

Pewien żyjący dermatolog przejdzie do historii medjumizmu, jako nieustrudzony badacz tej dziedziny

zagadnień. Nieraz spotykamy wielkich przemysłowców, którzy mogliby być doskonałymi ekspertami w zakresie sztuk pięknych, plastyki, zdobnictwa, muzyki.

Bogatym naturom nie wystarcza zawód, choćby najgłębiej pojęty i najwszechstronnie wykształcony. Szukają intelektualnych wzlotów po godzinach roboczych. Czytają dużo i znajdują swoje własne kryterium sądów, opinii, umieją i lubią mówić o literaturze, umieją i lubią wyciągać wnioski z założeń krytyki, często wygłaszają zdania wysoce oryginalne — rakiety subtelnych aforyzmów, paradoksalnych zestawień, pod którymi podpisałby się każdy „wzięty” autor.

Ale to jednak wyjątki. Wielu inteligentów o bardzo wybitnym poziomie umysłowym — uczonych specjalistów — uważa książkę poza fachową tylko jako rozrywkę, wytchnienie, sport lekko mózgowy po pracy. Biorąc do ręki powieść byle jaką, aby nie nudną, nie zawiłą psychologicznie. Lubią awanturnicze przygody Sherlocka Holmes’a i poszukiwaczy złota London’a. Rozkoszują się przeżyciami syberyjskimi Sieroszewskiego i historjami myśliwskimi Weyssenhofa.

Czytają chętnie prawdę i zmyślenia Ossendowskiego, satyry Makuszyńskiego. Pewna wybitna ekonomistka nasza wypoczywa tylko przy Trylogii Sienkiewicza. Przewertowała ją sto razy, umie na pamięć, ale wraca do niej ciągle, coraz więcej zachwycona.

Takiego czytania dla rozrywki, które jest, jak pójście do teatru, kina, lub wysłuchanie koncertu radiowego, nie można brać za złe ludziom o przemierzonym umyśle. Oni zresztą w każdej — głupiej, czy mądrej, artystycznej, czy słabej twórczo książce znajdują jakieś okienko, wylocik na świat zjawy szerszej, na bezkres niewiadomego, na zdumiewający w swej ciągłości łańcuch przyczyn i skutków, na jedność w chaosie, na mądry plan w toni odmętów, na wszystko, co wali w człowieka tajemnicą, bólem, szarpiącym niepokojem nierozwiązalnej zagadki bytu. Gdybyż takie okienka, furtki, wyloty umiał znajdować przeciętny inteligent — wysokiej, czy średniej kategorii biuralista, wzięty, czy mało znany lekarz, pedagog, prawnik, ziemianin, przemysłowiec!

Nie szuka ich. Drogowskazem, nicią przewodnią czytelnictwa ogółu inteligenckiego jest przede wszystkim pogoń za nowością. Nie mieć w rękę książki — swojej, czy obcej, która świeżo wyszła z druku i o której już były wzmianki w najpoczytniejszych pismach, iść na five o'clock, raut, czy też ściśle poufną herbatkę w gronie najbliższych przyjaciół, nie zającawszy do niej, dać się uprzedzić panu, lub pani X. Y. Z. — bardzo „letrés” i „bons causeurs”, w wygłoszeniu sądu o tym krzyku nowej duszy, — to przecież wstyd na cały długi wieczór. Więc za wszelką cenę łapie się ową nowość z księgarni, czytelnicy, od staruszka znajomego, który nigdzie nie bywa, a lubi czytać, — łyka się kilka roz-

działów na godzinę przed wyjściem, aby mieć jakie takie pojęcie o całości i już — oddychając spokojnie — podczernia się brwi, szminkuje usta i polizki, wciąga krótką suknię przez głowę i jedzie na spotkanie ze znawcą nowej literatury, owym „bon causeur’em”. Nie wraca się do danej książki już później. Po co?...

Są inne. Kilka aforyzmów, pochwyconych na prędce i zacytowanych na owej herbatce, five’ie czy raucie, dało poznać, że się o niej wie.

Pogoń za nowością jest głównym powodem płytkiego czytelnictwa — naszego i nie tylko naszego. Wytwarza chaos. Powoduje brak orientacji. Co może mądrego i zdrowego powiedzieć o najostatniejszych prądach ktoś, co — pochłaniając twory ich skwapliwie — albo niema podstaw gruntownej znajomości literatury w jej całokształcie, albo z trudem przypomina sobie dawne i przedwspółczesne przejawy twórczości, z których, jak z prażródła wypływa dech modernizmu? Zresztą, nie wystarcza nic porównawcza, w snuta z własnego, bodaj najwięcej refleksyjnego umysłu. Trzeba znaleźć potwierdzenie jej, uzupełnienie, pogłębienie, a nawet może — dla kontrastu — zaprzeczenie w studjach wielkich krytyków, powag światowych, uczonych swoich i obcych. Nie szukamy ich. Przeczytanie sprawozdania z modnej książki w prasie bieżącej wystarcza najzupełniej. Kto dziś wraca do krytyków tak wielkiej miary, jak Ignacy Matuszewski, który — z dziwną przenikliwością ujmując zasadnicze cechy twórczości najmłodszych, — pogłębiał je, retuszował, prześwieślał blaskiem geniuszu klasycyzmu, romantyzmu, neoromantyzmu i — jak misternie wyczelowane portrety — rzucał na tło wizyj duchów pokrewnych, bliskich, czy dalekich, żywych, czy umarłych, mgłą niepamięci zasnutych. Nie czyta się dziś klasyków krytyki — tych, którzy zeszli już do grobu. A ci, pozostali, piszą — dla kogo?... Chyba może jedynie dla kolegów swoich po piórze, dla garstki braci literackiej, najpoważniej swój zawód traktującej, tej — która z natężeniem śledzi rozwój prądów ostatniej doby, ale zamiast sensacji szuka w nich twórczej potęgi ducha ewolucji, wybuchającej niekiedy rewolucyjną fanfarą. Nasi Brücknerzy, Chrzanowscy, Kleinerzy piszą jedni dla drugich — uczeni dla uczonych, a także dla młodzieży z wszechnicy, przyszłych profesorów i profesorek, literatów i literatek. Inteligent, goniący za nowością beletrystyczną, zajrzy do nich, o ile nazwisko ich zobaczy w ostatnim „wziętym” tygodniku. O tem też się mówi w salonach, więc trzeba...

Miesięczniki, kwartalniki literackie nie są brane w rachubę.

Planowo, z pewnym obmyślonym i jasno wytkniętym celem nie czyta nikt prawie. Książka służy jednym, jako temat rozmów towarzyskich, innym — dla zabicia czasu, zwłaszcza w chwilach morderczego wyczekiwania na coś, czy na kogoś, wreszcie — dla rozerwania myśli gnębiących. Jak można czytać z pożytkiem dla siebie i bliźnich, wskaże przykład, który przytoczę w następnym numerze „Bluszczu”.

C. Walewska.

ZAGADNIENIE POPULARYZACJI MUZYKI



to się muzyką, choćby zdaleka, interesuje, zauważy zapewne, że od kilku lat regularnie i najgłośniejsz z początku sezonu, a w ostatnich czasach także w ciągu roku, powstaje na łamach dzienników stołecznych alarm z powodu zagrożenia bytu dwóch najważniejszych placówek muzycznych: Opery i Filharmonji warszawskiej.

Toczą się wówczas niekończące się dyskusje na temat rentowności tych instytucji, niesłychanych deficytów opery, niemuzikalności naszego społeczeństwa; lekarze — oczywiście wszyscy powołani — stawiają diagnozy, układają recepty, naogół wszystkie podobne do siebie.

A zło trwa, stosunki ani myślą odmienić się na lepsze.

To zaś znaczy, że ani rozpoznanie przyczyn, ani próby kuracji nie utrafiły w sedno rzeczy.

Popróbujemy nad tym problemem tutaj raz jeszcze pokrótce się zastanowić i wskazać to, co się nam wydaje najważniejsze, bez najmniejszej zresztą pretensji czynienia jakichś niezwykłych odkryć.

Pomińmy rzeczy notoryczne i całkiem ogólne, a więc zależność ścisłą całego życia kulturalnego, zatem i instytucji muzycznych — od ogólnego kryzysu, od nastrojów, jakie przeżywa społeczeństwo, a wejdźmy odrazu in medias res.

Muzyka polska jest w porównaniu z innemi sztukami, jak gdyby kopciuszkiem, jakby latoroślą, która nie zdążyła jeszcze odrosnąć od ziemi, muzyka nasza stale pozostaje w tyle o grubą kawał czasu za ruchem muzycznym reszty Europy, podczas gdy literatura, poezja, sztuki plastyczne, teatr — wzniosły się na szczybel rozwoju, na którym mogą się spokojnie mierzyć z dorobkiem innych narodów kulturalnych, mogą z nim nawet zwycięsko konkurować. Niezwykle zjawisko Chopina w tej ocenie niczego zasadniczo nie zmienia, bo Chopin niestety na ogólny poziom i na tempo rozwoju muzyki polskiej nie miał żadnego wpływu. Także Moniuszko, którego nazwisko ciśnie się tu zaraz na usta, nic w tym stanie rzeczy nie zmienił. „Halka” i „Straszny Dwór” są i pozostaną dla nas z pewnością narodowymi dziełami nieśmiertelnej wartości, ale pod kątem widzenia ogólnych dziejów opery — należą do epoki poprzedzającej chwilę im współczesną. Weszły one na deski sceniczne w momencie, gdy w Europie pełnię triumfu święcił wagnerowski dramat muzyczny, zrodzony z całkiem innych pojęć estetycznych, inaczej realizujący stosunek muzyki do akcji scenicznej, głoszący ideę „Gesamtkunstwerk'u”, wnoszący do muzyki nowe pierwiastki harmoniczne i formalne, całkiem inną rolę przeznaczający orkiestrze — jednym słowem dramat — rewolucjonista wobec przeszłości. Podobny jest stosunek w czasie polskiej muzyki symfonicznej, pieśniarskiej, lub instrumentalnej do tych samych rodzajów muzyki u innych narodów, przodujących kulturze. Nasz romantyzm muzyczny rozkwitł na dobre dopiero wtedy, gdy gdzieś indziej miał się już ku końcowi.

Dopiero w ostatnich kilkunastu latach, a głównie po wojnie, ta relacja rozwojowa zaczyna się wi-

docznie poprawiać. Impresjonizm i modernizm — jeśli go tak nazwać można — nieledwie następują sobie na pięty i już prawie że dotrzymują kroku zagranicy. Różycki i Szymanowski, których możemy u nas uważać za czołowych przedstawicieli tych kierunków — Europę niewątpliwie już dopędzili i w plejadzie artystów, zgrupowanych dokoła „Międzynarodowego Towarzystwa muzyki współczesnej”, nie mają potrzeby chować się za plecy innych.

Przyczyną głębszą tych symptomatycznych dziejów naszej muzyki jest, jak sędzę, zasadniczo to samo, co jest głównem, rozstrzygającym podłożem kryzysu najważniejszych, reprezentacyjnych placówek naszego życia muzycznego: Warszawskiej Opery i Filharmonji.

Jest to niesłychanie słaby kontakt muzyki z szerokimi masami społeczeństwa, całkiem niedostateczny, mniejsze, niż gdziekolwiek indziej, spo-pu-laryzowanie muzyki.

Coprawda wielu muzykom naszym, pięknoduchom, tym, którzy patrzenie na muzykę pod kątem społecznym uważają za rzecz poniżej godności, za pośledniejszy rodzaj zajęcia myślowego — wydaje się jeszcze wciąż, że o kulturze muzycznej społeczeństwa decyduje mniejsza, lub większa garść jednostek o wysokim poziomie umuzykalnienia. Ci ludzie najgruntowniej nie rozumieją, dlaczego np. Filharmonja warszawska świeci pustkami i łania sobie głowę nad przyczyną tego zła, które się leczy od szeregu lat na rozmaite sposoby: i pieniędzmi, i „programami” rozmaitego kierunku — zawsze bez rezultatu. A właściwie z tym rezultatem, że po zażyciu tego specyfiku Filharmonja rozpędza się i z początku zdaje się funkcjonować znakomicie, stopniowo jednak lek przestaje działać, tryby zaczynają zgrzytać — i maszyna powoli, powoli znów staje.

Z operą jest historia podobna. Zarzuca się jej zły repertuar, złą organizację, złą gospodarkę artystyczną i finansową i t. p.

Wszystko to jest słuszne. Racjonalny program z określoną ideą przewodnią, wysoki poziom wykonawczy, dobra organizacja — to są bez wątpienia momenty pierwszej wagi.

Ale nie one decydują o stałym, postępującym upadku, którego jesteśmy świadkami. Te momenty tylko dopełniają złego pierwotnego, całkowitej niepopularności muzyki, muzyki w sensie sztuki.

O to właśnie chodzi, że o kulturze narodu i o racji bytu jego instytucji kulturalnych nie rozstrzyga garść ludzi, choćby najkulturalniejszych.

Taka właśnie garść chciała w roku ubiegłym, przez pewien czasłożyć na utrzymanie Filharmonji i zarówno im, jak Dyrekcji Filharmonji zdawało się, że to do utrzymania się Filharmonji wystarczy. Tymczasem nie wystarczyło. I zgóry należało przewidzieć, należało obrać za punkt wyjścia, że to nie wystarczy. Gdybyśmy sobie nawet chcieli teoretycznie wyobrazić, że znaleźliby się ludzie, którzyby na utrzymanie takich placówek, jak Opera, lub Filharmonja, chcieli stalełożyć z własnej kieszeni, ale bez troski o to, aby równocześnie sala była zapełniona, to i tak dla kultury społeczeństwa nie miałoby to większego znaczenia.

Filharmonja, dająca koncerty wobec pustych krzeseł, Opera, dająca przedstawienie wobec pustką ziejącej widowni — byłaby to niby sztuka dla sztuki: hasło dawno przebrzmiało. Także i byt tych instytucji byłby oparty na glinianych nogach.

Nie wystarczy więc pieniądze, i nie jest rzeczą obojętną, na jakich źródłach dochodu istnienie takich instytucji jest oparte.

Salę powinny być pełne i dobra muzyka musi stać się dla publiczności masowej, duchową potrzebą codzienną, nie czemś od święta.

Wtedy dopiero zwiększy się pojemność muzyczna społeczeństwa, zwiększy się muzyczny materiałny i duchowy rynek zbytu, pomnożą się warsztaty muzyczne pracy, strzelą w górę liczne pędy świeżych talentów.

Z takiej diagnozy wyłonił się przed rokiem pomysł „Filharmonji ludowej”, głośno i obszernie dyskutowany, a od czasu do czasu słysząc o nieśmiałych projektach „Opery ludowej”.

Chodzi o to, że dotychczasowe: Opera i Filharmonja — są to aparaty o zakorzenionej tradycji, nastawione na użytek elity społecznej, ociężałe, unieruchomione w swoich czterech ścianach, po prostu ciasne w dosłownym znaczeniu. Tak, jak dziś, nie nadają się do przyjęcia w swoje podwoje mas.

Dla spełnienia zadań, o których mowa, powinnyby one zerwać z nawyknięciami, przekroczyć mury, zdobyć na szerokiej przestrzeni kontakt z masami społeczeństwa, czyli niejako eksterjoryzować się i zapuścić korzenie w różnych punktach miasta, nie tylko w centrum.

Ale do takiej akcji te instytucje są, w dzisiejszej ich postaci organizacyjnej, niezdolne.

Opera w roku ubiegłym podjęła wprawdzie godną uznania inicjatywę przedstawień na przedmieściach. Wystawiono (w teatrze na ul. Wolskiej) „Fausta”. Próba udała się pod każdym względem doskonale. Publiczność dzielnicy wypełniła małą salę po brzegi, bito z zachwytem brawo wykonawcom, artyści dali z siebie, co mieli najlepszego, wpływ pieniężny okazał się niemierniejszy, niż przeciętny w Teatrze Wielkim!

Od czegoż jednak są słynni „ojcowie” miasta...

Magistrat orzekł, że ta akcja jest niepotrzebna i nie pozwolił jej kontynuować.

Ciekawe są również dzieje uprzystępnienia opery szerokim kołom inteligencji pracującej.

Gdy po raz pierwszy przed kilku laty z propozycją znacniejszego obniżenia cen biletów wzamian za rozprzedaż ich w większej ilości wystąpiła „Międzyzwiązkowa Komisja Kulturalno-artystyczna” (K. M. K. A.) — napotkała początkowo w Magistracie zawzięty otwarty opór. O każde zosobna przedstawienie trzeba było walczyć. Od czasu do czasu Magistrat, jak uparte dziecko, mówił „nie chcę”, później się cofał, ustępował krok za krokiem. Dopiero gdy tę samą myśl podjął, a trzeba przyznać, także znakomicie zaczął wprowadzać w czyn p. Czerniawski z ramienia magistrackiego „Wydziału Kultury i Oświaty”, — ojcowie miasta nareszcie trwale zrozumieli wartość tej działalności.

Dziś przedstawienia ulgowe stały się koniecz-

nością, zarówno dla tej części publiczności, która z nich korzysta, jak dla Magistratu, który uznał w nich kasową deskę ratunku teatrów miejskich.

Ale przedstawienia te tylko minimalnie czynią zadość celom, o które nam tu chodzi. Dla mas społecznych — opera jest w dalszym ciągu niedostępna, jest instytucją obcą.

Podobnie rzecz się ma z Filharmonją, a o ile chodzi o popularyzację muzyki symfonicznej — aż do ostatnich czasów było znacznie gorzej. Bo muzyce symfonicznej brak przecie tych elementów atrakcyjnych, które posiada opera.

Dyrekcja Filharmonji, aż do ostatniego roku, żadną miarą nie dawała się zdobyć dla myśli, aby zapomocą niskich cen przyciągnąć choćby tylko inteligencję pracującą.

I tu dopiero z żelazną konsekwencją prowadzona praca p. Czerniawskiego dokazała, że doskonale koncerty symfoniczne „Wydziału Kultury” salę Filharmonji przepełniają parę razy pod koniec każdego tygodnia.

Ale i to — to dopiero cząstka właściwej akcji, początek, przytem niewystarczający dla radykalnego wydobywania Filharmonji z sytuacji krytycznej. Gdyby nie orkiestra, grająca na własną odpowiedzialność finansową — nie byłoby Filharmonji.

Pierwsze więc kroki na właściwej drodze już zostały poczynione. Ale widać też, że trzeba było do tego nowych ludzi. Trzeba jednak ponadto całkiem inaczej zorganizowanego, nowego aparatu i — co najmniej w dalszej przyszłości — pomieszczeń, nie dla tysiąca, ale jak zagranicą, dla kilku tysięcy słuchaczy.

A dla wyjścia z impassu, w jakim znalazły się i Opera i Filharmonja, dla zdobycia dla muzyki mas, wydaje mi się aktualną i najniezbędniejszą rzeczą odszukać te masy, trafić do nich w ich własnych ośrodkach skupień. Pierwszym do celu wiodącym sposobem byłoby, jak wyżej wspomniałem, aby Opera i Filharmonja wyszły poza mury, aby urządzały przedstawienia i koncerty po dzielnicach miasta, we wszelkich zdalnych do tego salach. Publiczność przedmieść ma swoją psychologię, od przybytków sztuki w śródmieściu stroni. Trzeba jej wyjść naprzeciw.

Drugim, równie ważnym sposobem jest zorganizowanie dopływu tej publiczności do sali koncertowej, lub operowej; mówiąc inaczej, stworzenie sprawnego aparatu organizacyjnego dla rozprowadzenia biletów wśród mas. Samo obniżenie, nawet najwydatniejsze ceny biletów, nie wystarczy tam, gdzie chodzi o zbudzenie potrzeby kulturalnej jeszcze śpiącej. Do mas trzeba frać zapomocą ich własnych organizacji, wyzyskać w tym celu wszelkie istniejące arterje i kanaliki organizacyjne, w razie potrzeby powiązać je siecią specjalną dla celów muzycznych, lub ogólniej, artystycznych.

Wreszcie, aby potrzebę muzyki w masach zbudzić, trzeba propagandy odczytowej, któraby tej masie otwarła oczy na nieznane jej jeszcze piękno.

Dla kobiety uspołecznionej — pole do działania bardzo wdzięczne.

J. R

WANDA BORUDZKA

MARJA DĄBROWSKA I „LUDZIE STAMTAŁD”

(dokończenie)

Uporczywie wpatrzona w ten jedyny punkt na widnokręgu, z myślą o dalekim świecie, Józka nie potrafi związać nawet chęci wyzbycia się tego — prawdziwie że — jadu bezwzględnej miłości.

Zamiast ucieczki od tego pogorzeliśka, jakim się stało jej życie w pobliżu Deresza, widzi tylko swój wyjazd jako środek nachylenia do siebie odwróconego serca. „Może, jak do czego dońde — jak nie byde tako ostatnio od gnoju — byde miała takie jasne odzienie... Chto może wiedzieć w czym się ta chto drugi pokochó? Może przyńdom te czasy. Chto ta wi”...

W postaci Józefki daje nam Dąbrowska kliniczny prawie obraz ostatniego stadium poniżenia z miłości: wyzbycie się już wszystkich kobiecych ambicji. Żeby pozyskać choć trochę „przyjacielstwa” wydaje jej się, żeby się i takim okruczem odżywić mogła bierze w opiekę przed innemi swoją rywalkę. „Bo już bez co, jak bez co, ale bez to musi do mnie serce mieć”. Rzecz oczywista, że — nie ma. Zresztą nie możemy nawet uwierzyć, aby mogły wyżyć obok siebie w jednym sercu te dwa uczucia — jedno zdrowej, instynktownej odrazy — drugie sztucznej, wyśrobowanej, przeciwniej naturze, życzliwości. To też ta, od Boga widać przeklęta, miłość zmiażdży z pewnością Józefkę swoim ciężarem. Dla określenia jej Dąbrowska używa słów aż tak przejmujących. „A jobym po jedniuchnym włosie rwała i na ziemi bym te włosy kładła, żeby go ta zimio nie uwirala”. Mimo to, a może właśnie dlatego nie nawróci się do niej ten Deresz, może jeszcze z tego powodu, że i w dawaniu trzeba znać miarę.

Takie są pobieżnie, strzałką tylko gdzieś gdzie oznaczone kierunki silniejszych przeżyć „Ludzi stamtąd”.

Jak dalece chodzi Dąbrowskiej o skupienie naszej — tyle chętniej uwagi — wyłącznie na nich dowodzi choćby wysoce artystyczny dyskretny półcień w jakim pozostaje chłopsko-szlachecki konflikt. W paru miejscach zaledwie jest on zaznaczony, bo burzliwa scena Karczmarska z panem o spalona pszenicę mimo nawet słów Karczmarska „Jak wos tu bydom polić, to nie od chleba zacznom” najmniej może o ten konflikt zatracą. Natomiast mocno zaznaczona jest różnica gatunkowa materialnej krzywdy pana „Z torbami psiakrew pójde, jak się tak będziecie rządzić” i Karczmarska, któremu to pole było „za familję”, który „chodząc po wspaniałych niwach wiązał z niemi pomału żyłka za żyłką swoje serce”. Natomiast w „Szklanych koniach” występuje ścisły związek tych dwóch, z jednego pnia wyrosłych, skłóconych gałęzi klasowych. Jest to związek możliwy powiedzieć organiczny — też jakby wiązanie „żyłki za żyłką” serca tego pana, który przecież też jest stamtąd, do serc tych ludzi.

Jednakże w żadnym miejscu nie mamy cienia nawet przejawu ideologicznej natarczywości, to też nic nas na stronę od „Ludzi stamtąd” nie odciąga. A droga do nich była trudna. Z okazji Wniebowstąpienia Rytarda¹⁾ mówi o tem Dąbrowska: „Natura, przedmiot, także jeszcze zwierzę — te są artyście zawsze prędzej wierne. Lecz człowiek jest zdra-

dziecki, trudny, rozproszony wśród swoich dzieł, obarczony śmieciem konkretnych swoich życiowych spraw i grzechem intelektu. I z tem wszystkim i tylko z tem wszystkim razem chce wejść do sztuki”.

Ten to właśnie balast ludzkich spraw w sposób swoiście jedyny oddaje Dąbrowska. Nietylko przecież w momentach podniesionej duchowej temperatury towarzyszymy jej bohaterom — wciągają nas także w obręb swoich działań wszystkie ich najzwyklejsze sprawy. Bicie masła i pielienie grządek przez Marynkę, rąbanie drzewa przez Nikodema, nie mówiąc już o gwiezdnych poemacie jego stróżowania, układanie się psa do snu, karmienie świń przez Łucję, taniec u Chojnickiego, pranie owiec, a nadewszystko przenosiny Łucji i Karczmarskich, we wszystkim jesteśmy zmuszeni brać udział w tej książce.

To też wychodzimy z niej zgrzani, jak z bitwy. Bo jeszcze i to, że chociaż przyzwyczajeni do zgeszczonego słowa Dąbrowskiej nie dziwimy się już niczemu, od czasu do czasu natrafiamy przecież na miejsce, od którego poprostu nie sposób oderwać gwałtownie przezeń wchłoniętej uwagi. Nie żeby była nam ta rzecz nowa, lub nieznamąca, ale że schwycona jest na gorąco, na świeżo i oddana powiedzeniem zwartem, nabrzmiałem, przesiąkniętem, po brzegi nalanem treścią. Powiedzeniem z wszystkich dobrych, jakie tylko być mogły — najlepszem. Do takich należą: „Naokoło było milczenie obcej strony” rozgrzewająca starych Bogaczy, „pełna nienawiści, gniewu i obrazy miłość do Łucji”, „wątki ubogi flegm i gorzki zapach” i „płynące z niego ubogie miękkie nagwizdywanie — trochę niedoleżne, świeże i młode”.

Opis powierzchowności Łucji „lekkie sapanie śpiących dzieci, trwających w kwaśnej ciemności”. „Różowe migoty tańczące po ścianach, słodkie migoty, w których blasku dudniącym każde miejsce staje się domem”. „Jedwabisty płyn mleka”. „Ciemnożółta od wschodniego słońca śpiżarnia wśród oschłej woni sypanych kasz i miękkich tchnień maki padającej na kopankę”. To, że jaskółki są granatowe i czyste i że świergot ich rozlega się w oborze mocniej niż na podwórzu i jeszcze inne i tyle innych. A przedewszystkiem opisy przyrody, któreby można było uważać za objawienie, gdyby nie to — że nawykliśmy już do nich w „Uśmiechu Dzieciństwa”. „Gwałtowny wiatr pachnący niebem, który wali przez drogę tnąc i rozrzucając głos wołającego”. „Drzewa i budynki płowe ściśnięte z zimna”. „Malutki dzień zimowy, ginący w objęciach olbrzymiej nocy” i tyle innych.

Jasno stąd widzimy, czym jest samo słowo dla Dąbrowskiej. Musi ono być przedewszystkiem niezawodne, najlepsze z istniejących. To też najcenniejsza jest zawsze Dąbrowska słów swoich własnych, świeżych, nieużytych — i, co jest jej specjalną ambicją, nie używanych jeszcze ani razu. Każde wydaje się być poprzedzone momentem gruntownego namysłu, poddane jakieś próbie ogniowej z której wyjdzie nieomal, że — niezniszczalne. O te nieużywane będzie miała pewnie niejedną sprawę,

¹⁾ Wiadomości Literackie 10 Sierpień 1924 r.

bo któż to daruje „izbuszkę” w sensie chałupki, nie wnętrza, „przejrzadelko” i t. p. Jest to jednakże jedynie słabiuchny zarzut, który — jakże wątpliwa — dałby się doczepić do prawdziwie bezstronnego sądu o tej książce.

Wszystko to i to także, że wprowadza w niej Dąbrowska zupełnie nowy język z pewnością sprawia, że „Ludzie stamtąd” są właśnie tem, czem nie był według Dąbrowskiej „Juljo Jurenito” Ehrenburga²⁾: dziełem, „które jest zanurzone w soku życia, w którym słyszy się szum wieczności i łoskot ludzkiego serca, czyniącego dzieło pisane słyszalnym przez stulecia”.

W sądzie o tej książce nie powin-

niemy też pomijać i jej czyste pedagogicznego znaczenia, jako znacznego powiększenia cenzusu literackiego. Dla ogromnej większości książek konfrontacja z „Ludźmi stamtąd” byłaby poprostu zgubna. To też dziwnie nawet może brzmieć słowo sąd w zastosowaniu do tej książki. Obrońców nie potrzebuje, a w żadnym wypadku nie pozwoli nam pozostać biernymi świadkami, chociażby nawet świadczącymi na jej korzyść.

Musimy więc, chcąc nie chcąc, stać się jej pokornie oddanymi współtwórcami, starając się o tę rzecz prawie niemożliwą, żeby nasza psychika odbiorcza nie utraciła ani jednego drgnienia tej twórczej fali.

²⁾ „Bluszcz” 4 Lipca 1925 r.



LUCJAN ANDRÉ

PRZEDWIOŚNIE

*Jeszcze noc mrozem ścina — i o szyby dzwoni
Skarga samotnych wichrów długa — pojękliwa...
Dnieje. Już wypalona w kaganku oliwa.
W sadzie, zda się, majaczy biały kwiat jabłoni.*

*W przepychu światłocienia, barw, dźwięków i woni
Wschodzące słońce ima się bogów tworzywa.
Niewidoczny cień zimy kędyś dogorywa,
Słuchając życia pełnej, głębokiej harmonji.*

*Tylko serce człowiecze o tej wczesnej porze
Jeszcze w cud nadchodzący uwierzyć nie może:
Pomni swej zimy czarną, straszliwą Kalwarię.*

*I strojąc się odświętnie, obce jest, nieczułe,
Jak senny ksiądz, gdy wdziawa swój ornat i stulę,
Słyszac dzwiczne, rozgłośnie dzwony na prymarję.*

R. L. STEVENSON

przekład Z. GRABÓWSKIEGO

KAMIEŃ PROBIERCZY

Król był człowiekiem wysoko cenionym w oczach świata. Jego uśmiech był słodki, jak koniczyzna, lecz jego dusza w głębi piersi była tak mała, jak ziarno grochu. Miał on dwu synów: młodszy był chłopcem po jego myśli, lecz przed starszym czuł lęk. I zdarzyło się jednego poranka, że bębny zagrzmiały w zamczysku, zanim zabielił się świt. Król wyjechał razem z dwoma synami, a dzielna świta postępowała za nimi. Jechali dwie godziny i przybili do stóp brunatnej góry, która była nader stroma.

— Gdzież to my jedziemy? spytał starszy syn.

— Poprzez tę brunatną górę, rzekł król i uśmiechnął się do siebie.

— Mój ojciec wie, co czyni, przemówił młodszy syn.

I znowu jechali przez dwie godziny, aż przybyli nad brzeg czarnej rzeki, co była dziwnie głęboka.

— A gdzież to my jedziemy? zagadnął starszy syn.

— Skróć tę czarną rzekę, rzekł król i uśmiechnął się do siebie.

— Mój ojciec wie, co czyni, zauważył młodszy syn.

Jechali przez cały dzień, a gdy zachodziło słońce przybyli nad brzegi jeziora, nad którym stało potężne zamczysko.

— Dotąd to dążymy, rzekł król, do domu króla, co jest zarazem kapłanem, do domu, gdzie się macie nauczyć wielu rzeczy.

Przy bramie zamczyska spotkał ich król, co był zarazem kapłanem. Był to człowiek sędziwy, a poza nim stała jego córka piękna, jak poranek, jedna z tych dziewczyn, co uśmiechają się, patrząc w ziemię.

— Oto moi dwaj synowie, oznajmił pierwszy król.

— A oto moja córka, wskazał król, co był kapłanem.

— Zdziwiająco piękna dziewczyna, zwrócił się pierwszy król.

— Podoba mi się jej zachowanie.

— Oto dwaj pięknie wyrośnięci młodzieńcy, przychwalił drugi.

— Podoba mi się ich powaga.

Potem dwaj królowie spojrzeli na siebie i rzekli: A więc nic nie stoi na wstręcie.

Tymczasem młodzieńcy spojrzeli na dziewczynę, a jeden z nich pobladył, drugi zaś okrył się rumieńcem. Dziewczyna zaś patrzyła dalej z uśmiechem w ziemię.

— Oto dziewczyna, którą poślubię, ozwał się starszy. Myślę, że uśmiecha się ona do mnie.

Lecz młodszy pochwycił ojca za rękaw.

— Ojcie, rzekł, pozwól szepnąć słówko. Jeśli znajdę łaskę w twych oczach, czy nie będzie mi wolno poślubić tej dziewczyny, bowiem przypuszczam, że uśmiecha się ona do mnie.

— Słówko na uszko, odparł król, jego ojciec. Czekanie to najlepsza gra łowiecka, a gdy zęby są zamknięte, język siedzi w domu.

Poczem wstąpili do wnętrza zamczyska i biesiadowali. Był to pałac tak ogromny, że młodzieńców ogarnęło zdumienie. Król, który był kapłanem, siedział u czoła stołu w milczeniu, co napełniało młodzieńców szacunkiem, a dziewczyna usługiwała im, uśmiechając się z opuszczonymi oczyma, tak że serca rosły im w piersiach.

Przed nastaniem dnia porwał się starszy syn z łoża i zastał dziewczynę przy krosnach, była ona bowiem pracowita.

— Dziewczę, rzekł, poślubię cię z ochotą.

— Musisz pomówić z moim ojcem, szepnęła i patrzyła w ziemię z uśmiechem, płoniąc się, jak róża.

— Jej serce mi sprzyja, uradował się w sobie starszy syn i, poszedłszy nad jezioro, śpiewał!

Wkrótce potem zjawił się młodszy syn.

— Dziewczyno, przemówił, jeśli ojcowie nasi nie będą mieli nic przeciw temu, gorąco pragnę cię poślubić.

— Możesz pomówić o tem z ojcem, szepnęła i patrzyła w ziemię z uśmiechem, płoniąc się, jak kwiat róży.

— To dobra córka, powiedział sobie młodszy syn, będzie z niej posłuszna żona. Poczem pomyślał: Co teraz trzeba zrobić? a przypomniawszy sobie, że ojciec jej jest kapłanem, poszedł do świątyni i złożył ofiarę z łasicy i zająca.

Natychmiast rozeszła się wieść o tem, to też dwóch młodzieńców i pierwszego króla wezwano przed oblicze króla-kapłana, który zasiadł na wysokim tronie.

— Mało dbam ja o wspaniałość stroju i o potęgę, ozwał się król, co był kapłanem. Żyjemy tu bowiem, jakby w cieniu, które rzucają rzeczy i serce słabnie na widok ich samych. Czekamy na wiatr, jak odzież, co schnie, lecz serce omdlewa od podmuchu wiatru. Lecz jedno kocham, a tem jest prawda. Za jedną rzecz oddam mą córkę, a tą jest kamień probierczy. W blasku bowiem tego kamienia wszystko, co złudne, znika, a istotne się objawia. Wszystko pozatem jest bez wartości. Dlatego młodzieńcy, jeśli chcecie pojąć za żonę moją córkę, ruszajcie w świat i przynieście mi kamień probierczy, bo taką jest jej cena.

— Pozwól szepnąć słówko, rzekł młodszy syn do swego ojca. Myślę, że będzie nam całkiem dobrze bez tego kamienia.

— Słówko na uszko, przemówił ojciec. Podzielam twoje zdanie, lecz gdy zęby się zamkną, język siedzi u siebie w domu.

I uśmiechnął się do króla, co był kapłanem. Lecz starszy syn powstał i nazwał króla, co był kapłanem, imieniem ojca.

— Czyli poślubię twoją córkę, czy nie, będę cię zwał tem mianem dla miłości twej mądrości, i zaraz oto jadę precz szukać po świecie kamienia probierczego. Zaczem rzucił im pożegnanie i ruszył w świat.

— Myślę, że i mnie trzeba iść, jeśli mi tylko dasz swe pozwolenie, ozwał się młodszy syn. Bowiem serce moje wyrывa się do tej dziewczyny.

— Pojedziesz ze mną do domu, zawyrokował ojciec.

Tak więc zwrócili się ku domowi, a gdy przyjechali do zamku, powiódł król swego syna do skarbcza. Oto, powiedział, kamień probierczy, co pokazuje prawdę. Bowiem niema innej prawdy nad widoczną prawdę. A jeśli w to spojrzysz, ujrzysz siebie, jakim jesteś.

Młodszy syn spojrział w to i, ujrzawszy swą twarz, twarz bezwąsego młodzieńca, uradował się tem ogromnie. Był to bowiem kawałek zwierciadła.

— Nie potrzeba wielkich rzeczy, by czegoś dokonać, rzekł. Lecz jeśli zdobędzie mi to dziew-

czyne, nigdy się nie poskarzę. Cóż jednak za szaleńiec z mego brata, by gonić w świat za kamieniem, który znajduje się w domu!

Podążyli tedy do drugiego zamku i pokazali zwierciadło królowi, co był kapłanem. A gdy ten w nie spojrział i ujrzał siebie w majestacie króla, a pałac w blasku królewskiego pałacu i wszystko wokół takiem, jakim było, wykrzyknął ze zdumienia i błogosławił Boga.

— Albowiem wiem już teraz, rzekł, że nie masz innej prawdy nad widoczną i że istotnie jestem królem, choć serce moje nie otrząsnęło się ze wszystkich trwóg. Poczem zburzył świątynię, by na jej miejsce wznieść nową. Wtedy odbyły się zaślubiny młodszego syna z dziewczyną.

Tymczasem starszy syn jechał w świat, by znaleźć kamień probierczy, w którym objawia się prawda. Gdziekolwiek zajeżdżał w gościnę, pytał się ludzi, czy nie słyszeli o nim. I wszędzie mu odpowiadano:

— Nietylko słyszeliśmy o nim, lecz my jedni tylko posiadamy go i wisi on sobie i w tej chwili przy naszym kominku. Radowało się wtedy serce starszego syna i prosił, by mu nań pozwolono spoglądać. Czasem był to kawałek zwierciadła, co pokazywało odbicie rzeczy. Wtedy mówił:

— Nie, to nie to, bo to jest coś więcej, niż obraz! Czasem była to bryła węgla, co nie pokazywała niczego. Nie to nie to, mówił, bo ostatecznie to jest obraz! A czasem był to istotnie kamień probierczy, wspaniałej wielkości, upiękuszony oszlifowaniem, promieniejący światłem utajonem w jego głębi. A gdy wpadł mu w ręce, prosił on, a ludzie tamtejsi dawali mu go chętnie, jako że byli nader szczodrzy w darowywaniu tego klejnotu. I stało się, że wkońcu miał tych kamieni pełną torbę tak, że grzechotały o siebie w czasie jazdy. A gdy zrobił postój przy drodze, wyjmował je i próbował, aż zawracało mu się w głowie, jakby tam śmigały skrzydła wiatraka.

— Pomór niech padnie na to wszystko! zło-rzeczył starszy syn. Nie widzę całkiem końca tego szukania. Mam kamień czerwony, niebieski i zielony. Wszystkie wydają mi się porównowo wspaniałe, a jednak jeden drugiego zaćmiewa. Zaraza na to wszystko! Gdyby to nie dla króla - kapłana, którego nazywałem ojcem, gdyby to nie dla pięknej dziewczyny z zamczyska, co sprawiła, że me usta rozbrzmiały pieśnią, a serce rosnęło, rzuciłbym ten wór do słonej głębi morza i, pojechawszy do kraju, został władcą, jak to czynią inni.

Był on jednak, jak ten łowiec, co spostrzegł jelenia na wzgórzu, gdy noc już zapada, zapalają się ognie, a w domu jego rozbrzyskują światła. Lecz w jego sercu nie postoji żadna myśl poza pragnieniem osiągnięcia tego jelenia.

Tak tedy po wielu latach przywędrował starszy syn nad brzeg słonego morza. Noc już była, miejsce było dzikie, a wołanie morza brzmiało głośno. Ujrzał chatkę, a w jej wnętrzu człeka, co siedział przy świetle ogarka, bo nie miał ognia. Starszy syn wstąpił pod jego dach, a człek dał mu wody do picia, jako że nie posiadał chleba. Kiwał głową, gdy doń mówił, bo nie znajdował słów.

— Czy masz kamień prawdy? Zagadnął starszy syn, a gdy człek przytwierdzał głowę, zawołał: Może ja go już znam! Mam tego pełny wór. I zaśmiał się, choć w sercu włóczył się mu smutek. A wtedy roześmiał się i ów człek, a od podmuchu jego śmiechu zagaś ogarek.

— Idź spać, ozwał się człowiek, bo myślę, że wędrujesz z dość daleka. Szukaniu twemu stał się koniec, a moja świeczka się wypaliła.

A gdy powstał ranek, dał mu ów człek do rąk jasną muszlę. Nie była ona ani szczególnej piękności, ani barwy. Starszy syn spojrzał na nią z gniewem, wstrząsnął głową i odjechał, bowiem zdało mu się, że jest to jeno drobnostka. Jechał tak skroś cały dzień, a myśli jego ułożyły się w spokoju i uśmierzyło pragnienie szukania.

— A gdyby tak mimo wszystko, spytał siebie, ta licha muszla była tym właśnie kamieniem? I zeszedłszy z siodła wysuł zawartość worka pobok drogi. A oto w zespolonym blasku wszystkie kamienie straciły na wielkości i ogniu i zaciągnęły się cimą, jak gwiazdy na niebie porannem. Lecz w świetle muszli zachowały swą piękność, jeno że muszla lśniła się najjaśniej. Starszy syn uderzył się w czoło. A jeśli to jest prawdziwe? zawołał, a wszystkie inne są niemi tylko w części. Wziął muszlę i zwrócił jej światło w niebo, a ono ciemniało, jak wykopany dół, zwrócił je ku wzgórzom, a te wydały mu się obumarłe i dzikie, lecz na ich zboczach kipiało życie tak bujne, że jego własne skurczyło mu się niejako w piersiach. Zwrócił ją na pył przydrożny i ujrzał z radością i trwogą proch. A skierowawszy ją ku sobie padł na kolana i modlił się.

— Niech dzięki będą Bogu, rzekł starszy syn. Znalazłem kamień probierczy i mogę teraz skierować cugle rumaka ku domowi, do króla i ku dziewczynie z zamczyska, co sprawiła, że usta me podniosły śpiew, a serce moje się rozrosło.

A gdy przybył do zamczyska, ujrzał przy bramie, gdzie dawnymi czasy wyszedł im król naprzeciw, bawiące się dzieci. Widok ten powstrzymał bieg jego wesela, bo pomyślał sobie.

— Oto tu bawić się będą moje dzieci. A gdy wkroczył do przedsionka, zastał tam swego brata, jak siedział na wysokim tronie, a dziewczyna pobok niego. I gniew się w nim podniósł, bowiem pomyślał sobie w duszy: Ja to będę siedział tutaj, a dziewczyna przy moim boku.

— Coś ty za jeden? powitał go brat, pociągając go wszedł do zamku?

— Jestem twym starszym bratem, odparł. Przybywam tu, by poślubić tę oto dziewczynę, jako że przyniosłem z sobą kamień probierczy prawdy.

Na to młodszy brat wybuchnął śmiechem.

— Co takiego? zapytał. Znalazłem kamień probierczy przed laty i poślubiłem tę dziewczynę, a dzieci nasze bawią się u bramy.

Na te słowa starszy brat zszarzał, jak świt.

— Błagam cię, wyjąkał, postąp sprawiedliwie, bowiem widzę, że życie moje jest stracone.

— Sprawiedliwie? wybuchnął młodszy brat. Żli cię to człeku niespokojny, włóczęgo i pozwalasz sobie wątpić w sprawiedliwość moją, lub króla mego ojca, cośmy są ludzie osiedli i znani w kraju?

— Nie, zaprzeczył starszy brat. Masz wszystkie cnoty, a więc i cierpliwość cię zdobi. Zwól mi tylko powiedzieć, że świat roi się od kamieni probierczych i nie jest tak łatwo rozeznaczyć, który z nich prawdziwy.

— Nie potrzebuję się wcale wstydzić mojego kamienia, uciął młodszy brat. Oto on, możesz się w nim przejrzeć.

Starszy brat spojrział w zwierciadło i chwycił go bolesne zdumienie. Ujrzał bowiem, że jest człowiekiem starym i że włosy na jego głowie były białe. I, usiadłszy w świetlicy, płakał głośno.

— Teraz widzisz, ozwał się młodszy brat, jaką to błazeńską rolę grałeś, uganiając się po całym świecie za tem, co leżało w skarbcu mego ojca, aby wrócić starym dziadym z pustymi rękoma i bez nijakiej podpory, którego jeno poszczuć psami. A ja w nagrodę za to, że byłem dobrym i mądrym siedzę sobie tutaj uwieczniony cnotami i radościami, szczęśliw w świetle buzującego ogniska.

— Widzi mi się, że język twój jest okrutny, rzekł starszy brat i, wyjąwszy jasną muszlę, obrócił jej światłość na brata.

Ujrzał, że ten człowiek leżał spo-

wity w całun śmiertelny, że dusza jego skurczyła się do rozmiaru ziarnka groszku, serce jego było jeno workiem nędznych obaw, co pełzały, jak skorpjony, a miłość wyszła w jego piersi. Na ten widok krzyknął starszy brat i zwrócił blask muszli ku dziewczynie. I oto była to jeno maska kobiety, a w głębi kryła ona trupa. Śmiała się tak, jak tyka zegar, lecz nie wiedziała dlaczego.

— Ah! doskonale! rzekł starszy brat. Widzę, że jest to poczęści dobre i złe. Niech się wam wiedzie jak najlepiej w tym zamku. Ale ja pójdę sobie precz w świat z tą oto muszlą w kieszeni.



MARJA DUNIN-KOZICKA

PRZEMARSZ UŁANÓW

2

Cichy dwór w Przymilepkach zatętnił życiem. Żołnierze biegali we wszystkie strony, rozkładając się taborem na wypoczynek. Wtoczyła się kuchnia polowa. Dojrzano już przez otwarte okno czeladnej izby różowy buziak Parani i kucharz pułkowy, frant nielada, wpadał co chwila do dworskiej kuchni, zezując niechętnie na ordynansa, który tam zajął pozycję zaczepną i stałą, usiadłszy wygodnie na ławie. Łepskie to było chłopczyśko, a przytem kawał obieżywiata. Był nawet w Belgji i jej pogwałcona przez Niemców „neutralność” tak mu się wbiła do głowy, iż odtąd pierwszym pytaniem przy politycznej gawędce było:

— A pan jest „utralny”, czy — „neutralny”?!

Przymilepskie dziewczęce łebki nie mogły snadź ocenić wartości zachodniego bywalca, gdyż po krótkiej z nim rozmowie kuchenne Heby nadąsały się obrzydłe.

Co więcej — dały dowód swej szczerzej „utralności”, albowiem opuściły kuchnię bez słowa, jeno nanizawszy poprzednio zdumionego żołnierza na szydła ostrego wzroku. W duchowym, zgodnym kontakcie (co rzadko się zdarzało) stanęły we trzy przed panią domu:

— Czy nakarmiłyście ordynansów pułkowych? spytała przezornie.

Pokojowa, Kasia — nie pokojowo zgoła nastrojona, odparła niechętnie:

— A jedzut tam — jedzut! Ale my proszę pani, bardzo prosimy, aby tego baciarsza, co miele ozorem, jak młyn, nie wpuszczać do kuchni! Dobry on!

— Co?! Zuchwale się zachowuje? Cóż wam powiedział?

— A najpierw, to nam bajdurzył o tyj tam Sykwannie, co to we Francji płynie, a latem i zimą woda w niej ciepła, jakoby grzana, a potem to głowę zawracał, że w onym Paryżu każdy parobek — powiada — ot taki, jakby wasz Semen, a po francusku galantnie pytluje, a na sam koniec powiada: Czy jest hotel w waszej Czerwonnej? A co to ten „hotel”? To taki dom — powiada — gdzie każdy z ulicy może wejść i wyjść, kiedy mu się spodoba! A nie doczekanie tego łobuza, żeby on uczciwym dziewczętom o „takich domach” wspominał! Nie chcemy my jego na oczy widzieć!

Inny zgoła ton rozmów brzmiał w staroświeckim salonie, gdzie zebrali się domowi i goście po

obfitej, wiejskiej kolacji. Dwudziestu ośmiu „niebieskich ułanów” w szaro-zielonych mundurach uwijało się wśród grona niewieścich postaci, niby koniki polne, ćwierkające między kwiatami na łące. Żołnierze, sławni na polu bitwy, okazali się i w tej szermierce niezrównanymi mistrzami. Pożądany sukurs w postaci czterech drobnych, jak piękne pszeniczne ziarna, dziewcząt — przybył nagle pod wieczór niewieściej załodze. Pan Jakób Wanna, zamożny dzierżawca dominikańskich folwarków, nie wiedząc wcale o postoju ułanów, przyjechał z córkami do Przymilepek na pogadankę sobotnią. Pan Jakób ród swój wywodził ze Szwecji i mawiał nieraz, iż Wannowie nie są niczem gorszem od Wazów. Jednym poszczęściło się w życiu, innym — nie. Oto wszystko. Dla podtrzymania wieloletniej tradycji nosił ów polski Szwed bródkę w klin i zadzierzysty wąsik, w czym upodabniał się wielce do portretów Karola-Gustawa. Pani Marta wzbudziła szmer podziwu, zjawiając się w modnej, wieczorowej tualecie. Przystanawszy pośrodku sali, odwinęła z perłowego ramienia haftowany szal i wzrokiem powiodła wkoło, podobna słońcu, co świeci i grzeje, nie bacząc na to, komu posyła mocne promienie. Generał Waligórski, opierając się mocno na lasce, wiódł za nią filuternem spojrzaniem, mrużąc lekko oczy, jakby olśnionem blaskiem:

— Jakże powodzi się synowi pani? Tęgi chłopak! — zwrócił się do oficerów.

— Jest w szkole kadeckiej we Lwowie. Będzie zeń żołnierz — pierwsza klasa!

Major de-Laveau skłonił się dworsko:

— Syn pani w kadeckiej szkole? To chyba żart, kochany panie generale, a prima aprilis już dawno minęło.

Uroczą słodycz nie zniknęła z twarzy atakowanej ofiary. Tylko z błyskających w źrenicach iskerek sądzić można było, iż przekorny generał płonie w jej wyobraźni na niebotycznym stosie.

— Niestety! Taka to ze mnie staruszką! — zaśmiała się na pozór swobodnie. Ale tańczmy lepiej zamiast rozmawiać o nudnych sprawach!

Fortepian zahuczał posuwistym fox-trottem i młodzi ruszyli ochoczo w tan.

Gromadki ułanów, przypatrujących się zabawie, stawały na uboczu tu i tam. Padały półgłosne uwagi i żarty. Zwycięska młodość nie czuła przemarszu

uczynionego w południe ze Lwowa, nie myślała o dalszej drodze o świcie.

— Spójrz, Stachu! Nasz pułkownik atakuje piękną Cererę. Oho! co za uśmiech wniebowzięty. Pierwsze szanse zdobyte!

— Zazdrość przez ciebie przemawia. Ręczę, że sam rozłożyłbyś się w cieniu tych bujnych kłosów.

— Parol ułański, że nie. To wymagająca niewiasta. Patrz-że, jak męża wysuszyła na szczapę! To niedołęga dopiero!

— Żaden z ciebie obserwator! Na siedm pie-sków mojej babci przysięgam ci, że to mąż silnej woli. On stałe palcem w bucie kiwa, a but ma przeklecie ciasny.

— Możliwe. Ale to ostra żona. Nie zachwycam się jej pięknością. Wolę stokroć tę wysmukłą Hermisję. Takie to wyniosłe, a chybkie, jakby jaka sarenka. Chętniebym ją obłaskawił, aby mi sama do ręki szła! Jeszcze dwa dni postoj — a napewno oświadczyłbym się dziewczuscel!

— Dobryś! A co powiedziałyby tamte wszystkie, którym już oświadczyłeś się we Lwowie? Ładny wianuszek, co?! Gdyby się tak razem zebrały! Win-szuję!

— Ciszej! Ta mała zadziora nie chciałaby nawet na mnie spojrzeć. Już i tak paruje moje zaloty, aż nie wiem istotnie z jakiej zająć strony!

— Słuchajcie! Co to za pani z temi smutnymi oczyma? Rozmawia w tej chwili z generałem.

— To matka tego miłego brzdąca z loczkami. Oni są z Kijowszczyzny i cały majątek stracili w rewolucji rosyjskiej.

— Zaraz do niej idę. Pogadamy o Kijowie. To jej sprawi przyjemność.

— O Kijowie? Przecież twoja lanca nie dotknęła nigdy tej ziemi! Rodowity z ciebie Poznańczyk, bujaczul!

— Naczytałem się dość opisów! A zresztą co mi szkodzi przyjrzeć się niewieście, która wydała na świat taką cacaną Nuleńkę?! Istna laleczka! Gdyby tak pocisnąć sprężynkę, ukrytą w dołeczku nad brzuszkiem, napewno zaśpiewałaby, jak prawdziwa lalka: Pa-pa! Ma-ma! La-la-la-la!

— Gadajcie, koledzy! Miło nam tu było, co? Trafiła się okazja, jak stara małmazja! A dziewczątka? Ach, buzi mi daj! To szczęście — to raj! Ale

trzymaj, bracie, język na uwięzi, jak podwórzowego kundysa!

Noc — czarownica o wlokącej się za nią mrocznej zasłonie, lecąca na połyskliwym sierpnię księżycy, przemknęła szybko. Na widnokręgu ukazała się zdala zarumieniona od pośpiesznego biegu, radosna, jak wiejska młódka, jutrzeńka.

— Zatrąbić wsiadanego! — rzucił rozkaz pułkownik.

Zacichł ulegle fortepian. Rozplotły się fańcące pary. Za chwilę — sztandar, wyniesiony z pokoju dowódcy, załopotał łagodnie na rannym wietrze. Uroczysta fanfara powitała ten symbol honoru i walczności pułku. Ułani dosiadali koni, formując się w lot czwórkami. Dziewczęta z panią Martą na czele stały ku salutującym wszystkim zebranych na gan-ku rycerzom — strzeliste wiązanki pożegnalnych uśmiechów i spojrzeń.

— Prosimy nie zapominać o Przymilepkach w powrotnej drodze z manewrów — rzekła gościnnie pani senatorowa.

Szwedzki papa, stojąc obok niej, powiewał w powietrzu wyciągniętą do góry ręką: I w Pańskim Moście oczekujemy was nieodwołalnie, panowie!

Krzyżowały się jeszcze ostatnie wykrzykniki: — Dziękujemy! Bóg zapłać! Żegnajcie! W drogę! Marsz! Adjutant skoczył na koniu wtył szeregow.

Ruszyli ułani. Pod nawisającymi nad nimi zielonemi pletwami dwurzędnych starych kasztanów, z parszaniem koni na dobrą wróżbę, wśród miarowych odgłosów ich stąpań, jechali powoli ku bramie wjazdowej. Na przedzie muzyka pułkowa grzmiała skoczną piosenkę. Wojacy podchwycili ją chórem:

— Ułani, ułani, malowana dzieci,
Niejedna panienka za wami polecil
Niejedna panienka i niejedna wdowa
Za wami do piekła polecieć gotowa!
Kochają was panny, lecz kochają skrycie,
Każda za ułana oddałaby życie.
Hej, he, ułani, malowane dzieci...

Z żołnierskich piersi leciała po rannej rosie
dźwięczna pieśń na pola, na łąny, na bory, na lasy—
leciała wdał,
jak chmara,
rozświegotanych jaskółek.

KONIEC

Z. REUTT-WITKOWSKA

KRYSTYNA ROSSETTI

(1830 — 1894)

Krystyna Rossetti czytywała Biblię, Dantego — i znów Biblię. Tłumacząc sonet E. Browning, wręcz niechętny upraszcza się cośkolwiek barokowe przeguby, gdyż raża; tłumacząc K. Rossetti, doświadcza się wciąż lęku, czy nie została naruszona święta prostota oryginału.

Sonet pierwszy zbliża się w motywie do przytoczonej w całości. Przerwy: „mimo to cię spotykać udręką jest prawie, udręka rozstań bowiem zbyt wcześnie nadchodzi”.

Dalej szuka miłość wspomnienia pierwszej godziny, pierwszej chwili poznania się, pierwszego uścisku ręki. „Śnię o tobie, by zbudzić się: gdybym też mogła śnić o tobie, nie budzić się, lecz marzyć dalej”... „Gdy więc słodziej śnić, niżli budzić się, to pewnie umrzeć słodziej było, niżli żyć, choć zgoła nic nowego pod słońcem”.

Sonet szósty bardzo pięknie wyraża starą prawdę trubadurów i Dantego, że miłość rzetelna uszlachetnia, do Boga zbliża: „nie mogę ciebie kochać,

gdy nie kocham Boga, nie mogę kochać Boga, gdy nie kocham ciebie", z heroicznym zastrzeżeniem, że gdyby jedno, albo drugie straconem być musiało, kochankaby się swego wyrzekła, nie Boga!

Nieporównanie pięknie zamyka wieniec sonet ostatni: „młodość, piękność minęły, cóż jeszcze zostało?” Na to pytanie odpowiedź świata brzmi: nic! nedoręczny żal bezpowrotnych wartości, czarna rozpacz pustki.

Piewcom tej wiecznej, prawdziwej, Miłości w Bogu zostaje: „Milczenie serca, które pieśń swą wyśpiewało, gdy młodość, piękność letnie stanowiły rano. Cisza Miłości, której nie zaśpiewać więcej”. Ale, by odczuwać wagę tego, co zostało, należy znać wartość złotego milczenia o najdroższym.

Pisywała też Krystyna Rossetti opowiadania poetyckie, ballady. Największą popularnością cieszy się utwór p.t. *Targ chochlików*: słowo poety zdradza tu wysokie wartości malarskie — w opisie owoców, któremi chochliki o zmierzchu kuszą przechodniów, opisie zajęć domowych dwu siostr, z których jedna staje się pastwą złośliwych duszków i, zakosztowawszy czarodziejskich przysmaków, usycha odtąd z tęsknoty po nich; druga zaś ofiarne, z narażeniem życia, dostarcza siostrze — na własnych ustach — soku owoców, które chochliki nadaremnie usiłowały wmusić w nią, by zasnęła sama wabnej i zgubnej słodyczy. Roztropna siostra zbawia siostrę lekkomyślną — pocafunkiem: bo, gdyby raz drugi zakosztowała czaru, odejdzie go zły urok.

Myśl niezbyt jasna. Odczuwa się tylko, że siostra roztropna ma siłę woli, strzeżonej przez uczucie dla siostry: miłość i poświęcenie uzdrawiają.

A zatem jedno z tych dzieł artystycznych, które są piękne, przemawiają, choć nie bardzo się rozumie: „co to znaczy”?

Przemawia też wyrazistsza w znaczeniu ideowym opowieść p.t. *Córa królewska* (A royal princess), bo i tu słowo jest plastyczne, ważne. Królewna, otoczona przepychem i baczna strażą, czuje się „biedną gołąbką, której nie wolno gruchać”, a razem orłem, któremu skrzydeł rozpostrzeć nie wolno. Żyłaby tak była lata w pozłocistym więzieniu, gdyby nie głos tłumu zgłodniałego, który wdarł się do jej samotni, dyszący pomstą: wychodzi mu tedy naprzeciw, by rozdać ludowi klejnoty, a nadto raz choć przemówić prawdą swego serca, przekazać naukę o tem, co Życie, co śmierć.

Ballady ludowe i rycerskie mają nerw dramatyczny, wartość wiersza, wyrazistość słowa, niosą też, przeważnie, głębszą treść etyczną, żywotnie zrośniętą z estetycznymi wartościami, nie rażącą „morałem”. Ocean zalewa pyszną Jessie Cameron, pastwiącą się nad godnością ludzką niefortunnego zalotnika — bo miała już taki język „pochopny sprawić ból”, prostaczka Nell zdobędzie serce męża — samą miłością, choć Maude Claire piękniejsza i mądrzejsza; Siostra szlachetna staje w obrobie mało popularnego dziś pojęcia — honoru rodzowego, które jednak, ongiś, ważyło cośkolwiek w oskrabianiu słabości ludzkiej.

Znajduje też w tajemnicy śmierci tematy liryczne, osobiście pięknie rozwiązane. Widzi oto, jak mara pośmiertną zakradła się między przyjaciół swoich, za biesiadny stół. Rozbrzmiewa wśród uczujących okrzyk weselny: Dziś i Jutro! Mara czuje się kimś wczorajszym i drży z zimna, blade wspomnienie gościa dnia jednego.

Inny wiersz zwie się *Chłodną nocą*: żywi zranili serce autorki; w noc, na cmentarzu, wzywa

ducha swej matki — ale, ciałem będąc obłóczona, nie posłyszysz mowy ducha. Żywi zawiedli, zawiedli umarli: poetka czuje bezdenną swą samotność w tę chłodną noc.

Tu znów duch uprowadza Narzeczoną z objęć Narzeczonego i pociesza ją widokiem postaci piękniejszej, niż ona, która to postać zajmie jej miejsce u ogniska oblubieńca, rodzić mu będzie dzieci, gdy tobie, ukochana dziś i „jedyna” szlakiem wichrów i burz się tułać.

Nastrój tych utworów udziela się dreszczem; są dobre. Nastrój z wyjątkową ekonomią artystyczną, powściągliwością słowa, osiąga wiersz *Pod Górę*. Zwięzła wymiana myśli między pątnikiem, a przewodnikiem, z której wynika, że wędrówka trwać musi od rana do nocy, że na noc za to dach być musi, że trafisz do gospody — koniecznie, że spotkasz tam owych, co wyszli wcześniej, że nie dadzą ci czekać za drzwiami... Znajdziesz tam wszystek owoc doczesnego trudu, a dla nikogo łoża nie zabraknie. Wyjątkowa precyzja i zwartość.

Poruszyć trzeba temat, który przykry był bratu-wydawcy nieżyjącej już tedy Krystyny Rossetti. Krytyka zarzucała jej nierówność. Brat broni jej; powiada, że każdy artysta prawu temu podlega. Tak, ale utwory Kr. Rossetti zdradzają rzetelnie, szczególniejszą nierówność. Są szczerze perły liryki religijno-refleksyjnej, obok rzeczy (mdławych, nudnawych).

„Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam” — improwizował najszczerzy polski liryk religijny: Mickiewicz. „W piersi tylko uderzę, wnet zdroj słów wytrysnie, a jeśli na tym prądzie iskra Boża błysnie, nie wynik to rozumu, ani plód marzenia, od Boga ją przyjąłem na skrzydłach natchnienia”.

Do Krystyny Rossetti bardzo dobrze nadałoby się miano kadzieli Bożej¹⁾, na której owo natchnienie, owa podświadomość bujnie i misternie przedzie. Ale za to też dojrzałej świadomości artystycznej, obiektywizmu wobec własnej roboty brak. A nie jest to z krzywdą całokształtu spuścizny poetyckiej.

Łudzi się tylko brat — zrozumiała serdeczna omyłka — że w jego zbiorze (325 stron ósemki) wszystkie utwory są równowartościowe. Obowiązuje czcieli pamięci i talentu Kr. Rossetti wielka oględność wyboru, a wtedy zbiorok tych pieśni najlepszych będzie klejnotem jasnośniąjącym, pokąd są na świecie dusze siostrzane, czyste i czule, wierne Bogu swemu, swej Prawdzie, boleśnie marzące o chwili, gdy skrzydłem łabędziem powrócić im w Słońce Wieczne Miłości.

Tymczasem, pod słońcem doczesnem, zadaniem ich jest rozdawać siebie, wylewać żar duszy w miłosierdziu dobrego słowa, cichego czynu. „Dawać, dawać, nie brać!” — to hasło Serca, znającego swą gorzkość, a które bliżnim słodczy się staje. Nauka przeciwna rozumowi Świata, który jawi się poetce w kształcie pazurzystej egoizmem i rogatej pychy potwory, z „subtelniemi” węzami kłamstwa we włosach.

Inny wiersz, pokrewnej treści — *Amor mundi* tłumaczy zagadkę, czemu wabne są manowce świata: prowadzą drogą najmniejszego oporu: niefrasobliwa, zdradliwa zabawka „z górki na pazurki”.

Śród doczesności czując się wygnanką (wizja Raju Utraconego w wierszu *Drzwi zamknięte*), raz jeden jedyny odetchnęła poetka choć dla organizmu swego, rodzimem powietrzem: była we Wło-

¹⁾ Zwie tak twórczość swą zapoznana ongiś, zapomniana dziś poetka polska, Olimpia Skibińska.

szech w 35 roku życia, raz jedyny. Poświęciła Italii trzy piękne stanze: „Czemuś mi obcą jest, a nie macierzą? Błogosławi krainie, która „ogrzewa serce”, mowie błogosławi „słodkiej”, błogosławi „siostrzycy Raju”... na której łonie pragnęłaby żyć, u Jej stóp umrzeć.

Najniewątpliwiej duży talent Kr. Rossetti nie dokwitł jednak pod bladem niebem. Jest urok w tym przedziwnym infantylizmie: rodzi swoiste piękno to bezprzerwane zniżenie w głąb, skupienie wewnętrzne, ograniczenie skali twórczości, dyskretny

tłumik na strunach. Elżbieta Browning obawiała się, czy owe jej rzekomo płomienne sonety nie będą wypadkiem shocking? Otóż Krystyna Rossetti jest jak najdalsza od urażania najbardziej purytańskiej pruderji. Cała jest przeczysta.

Zamykając zbiorok jej wierszy w ciche niedzielne popołudnie, czuje się jakoby ów „smak Boga”, o którym wiedzę dają ludzie, żyjący tak, jak ona, z Biblią w sercu. Uśmiecha się Coś z tych kart uśmiechem radosnym zapał trzeń apostoła z Pathmos: I owszem, przyjdź, Panie Jezu!

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

15

Przeprowadzono się bez przeszkód — lecz znaczna siła angielska, skupiona w przednim forcie „Augustanów”, zatrzymała ich na sobie dzień cały, nie dopuszczając do „Tourelles”. Już prawie wdzierano się na mury, gdy pogłoska jakaś wzniesła wśród Francuzów taki popłoch, że uchodzili już wszyscy, ciągnąc za sobą Joannę. Lecz ona nagle, jakby porwana za rękę przez Archanioła Michała, odwraca się, niepomna już na nic, i, nie dobywając nawet miecza, rzuca się z rozwiniętym sztandarem naprzeciw zuchwałego pościgu. W tym pierwszym momencie było z nią tylko kilku najniebezpieczniejszych¹⁾ — a przecie Anglicy, zaskoczeni i obezwładnieni tem szaleństwem odwagi, cofają się.

Wówczas dopiero Orleańczycy nabrali ducha, a wściekłego ich szturm nie wytrzymała już forteca. Pełną żywności i różnych zapasów kazała Dziewica podpalić w obawie, by wojska, zajętego rabunkiem, nie zaskoczyła jakaś świeża siła nieprzyjacielska.

Był to piątek; w dzień ów Joanna nie brała zwykle do ust nawet wody — lecz tym razem przekonali ją widać księża, że po trudach tak niezwykłych musi się posilić. Spożyła więc, u gościnnego stołu Jakóba Boucher, kilka kromek chleba, moczzonego w wodzie z winem²⁾.

Tutaj też doszła ją wiadomość o nowej decyzji rady wojennej: przezorni dowódcy uznali, że wobec dostatku żywności, lepiej poczekać na posiłki³⁾ i zrezygnować teraz z dalszej akcji zaczepnej. Na tę wieść krew urodzonego wodza zawrzała w dziewczynie.

— Wyście byli na swojej radzie, — odrzekła z pozorą spokoju — a ja byłam na mojej... I wierzajcie, iż rada Pana będzie wypełniona i ostatnie się, a wasza szczytnie!

A zwracając się do brata Pasquerel, łagodniej dodała:

— Wstańcie jutro ranej, niżli dzisiaj i czyńcie najlepiej, jako zdołacie. A nie odstępajcie od boku mego, albowiem jutro przyjdzie mi działać wiela i większych dzieł dokonać, niżli kiedyś a onego dnia wyjdzie krew z ciała mego, wyżej łona.⁴⁾

7-go maja, Joanna wstała razem ze słońcem, a przestępując próg domostwa, zapowiedziała odprowadzającym ją gospodarzom i świecie swojej, że dzisiaj weźmie bastyllę Tourelles i powróci do miasta przez most, wiodąc ze sobą jeńców. Zdziwiło to wszystkich, gdyż most ten od dłuższego czasu był zerwany.

W tej chwili zbliżyła się deputacja najpoważniejszych mieszczan i skłoniła się nisko przed Joanną, mówiąc:

— Radziliśmy społem i oto błagamy, racz wypełnić, co Bóg i król na cię włożyli!

W imię Boże, uczynię ono! odrzekła uroczyście, a dosiadając konia, rzuciła w tłum prastare bojowe hasło, po raz pierwszy chyba wołane dziewczęcymi ustami:

— Kto mnie miłuje — za mną!

I śnać miłowali ją tu wszyscy, bo rosa jeszcze nie obeschła na łąkach podmiejskich, gdy 5,000 zbrojnych zgromadziło się za rzeką. Jan Orleański, Gauthier, de Rais — oni wszyscy nie mieli już nic lepszego do zrobienia, jak przyjąć fakty dokonane, czyli bić się. Żaden z nich jednak nie umiał pokierować taką masą atakujących, przeciw wyniosłemu muiom mocnej bastylli, niedarmo zwanej Tourelles (wieżyczki). Znikomo mała załoga, byle zasobna w broń, żywność i amunicję, mogła się tam bronić i szereg dni. Nawet doskonała artylerja francuska, stojąca na ostatnich przesłach zerwanego mostu, niewiele zdołała zaszkodzić potężnym basztom. Zacięte, wciąż ponawiane ataki z dwóch stron, odpierali Anglicy łatwo, waląc zgóry kamieniem, ołowiane pociski dział, strzały — strącając ciosami toporów wdzierających się na mur Francuzów. Lecz Joanna, stojąc ciągle w pierwszym rzędzie walczących, powtarzała uparcie:

— Nie traćcie serca! Nie ważcie się uchodzić! Wrychle już dostaniecie bastylli!

A oto o 1 w południe, gdy przystawiała własne mi rekoma drabinę do groźnego muru, ugodził ją pocisk z kuszy, przebijając ciało głęboko, aż się stoczyła w fosę, a zwysoka zabrzmiały radosne wrzaski wrogów.

Francuzi natychmiast zaprzestali szturm, unosząc ranną w miejsce bezpieczne. Złożona tam troskliwie, (może pod jakim drzewem kwitnącem?) zalewała się łzami, jak dziecko. Widząc jej rozpacz, ofiarował się ktoś, że zaszczepi ranę, wedle praw magji, co ma być nadzwyczaj skuteczne.

¹⁾ La Hire.

²⁾ Było to jej najczęstsze pożywienie.

³⁾ Chyba angielskie! — gdyż wiedzieli dobrze wszyscy, że król Karol uczynił ostateczny już wysiłek dla ratowania Orleanu.

⁴⁾ O ranie tej mówiła Joanna jeszcze w Chinon, co stwierdzają najwiarogodniejsze dokumenty.

— Wolej mi zemrzeć — krzyknęła, w nagłym przypływie mocy — niżli zgrzeszyć, alibo uczynić co przeciw woli Boga!

A po chwili dodaje: — Wiem — ci ja, jako mi śmierć pisana, nie wiem ino, kiedy, i nie znam godziny! Można — li przez grzechu zleczyć moją ranę, to czyńcie, co wam się zda...

I sama wyrывa strzałę, tkwiącą powyżej piersi, a ktoś z obecnych tamuje krew, buchając obficie, przykładając świeżą słoninę, a zalawszy ranę oliwą, obwiązuje płótnem, jak umie. Tak opatrzona naprędce, spowiada się Joanna i leży potem cicho, patrząc zachwyconemi oczyma w ów wyższy świat, co miał dla niej lepsze leki, niż ziemia.

Tymczasem wodzowie, czując się znowu w prawie stanowić o wszystkim, po krótkiej naradzie ogłaszają rozkaz odwrotu.

Na pierwszy znany sygnał trąb, Joanna zrywa się, jakby była zupełnie zdrowa, wkłada znów pancerz i biegnie na ratunek zagrożonemu zwycięstwu, bo ona przecie wie, wie napewno, że to dziś właśnie „wybiła godzina“! I póty błaga, tłumaczy, grozi, aż rada wojenna ustępuje, wiedząc zresztą dobrze, że jedno spojrzenie tej dziewczyny porwie za sobą całe wojsko, wbrew ich rozkazom. (d. c. n.)

WSPOMNIENIE O Ś. P. IZABELI ZBIEGNIIEWSKIEJ

We Włocławku w kościele O. O. Reformatorów d. 16 kwietnia b. r. staraniem byłych uczennic odbyła się uroczystość poświęcenia tablicy pamiątkowej ku uczczeniu ś. p. Izabeli Zbiegniewskiej byłej przełożonej pensji. Świetlana to postać, rzeczniczka walki o niepodległość ojczyzny, założycielka komitetu opieki nad więźniami, wychowawczyni kilku pokoleń kokiet z myślą wykształcenia ojczyźnie dzielnym i ofiarnym polek.

Ś. p. Zbiegniewska na niwie pedagogicznej pracowała od wczesnej młodości, rok 63 zastaje Zbiegniewską na stanowisku przełożonej wyższej pensji żeńskiej wzorowo prowadzonej, w 1876 r. rząd rosyjski zamknął jej pensję, lecz ś. p. Zbiegniewska nieustraszenie pracowała dalej do późnej starości, ucząc w kompletach konspiracyjnie, siejąc oświatę i umiowanie ideału.

Brała żywy udział w ruchu umysłowym. Pisywała do pism artykuły treści pedagogicznej i powieści, w „Bluszczu“ wychodziły jej pióra życiorysy ówczesnych działaczy społecznych, nazywanych entuzjastkami, należała do ich grona.

Prowadziła rozległą korespondencję z wybitnymi ludźmi: z Garibaldim, z osieroconą rodziną po Stanisławie Bechim, bohaterze włoskim, który walczył za naszą niepodległość i został rozstrzelany we Włocławku d. 17 grudnia 1863 r. Ostatnich chwil jego w celi więziennej była jedyną pocieszycielką. Pisywała z Lenartowiczem, Asnykiem, Glogerem, J. I. Kraszewskim, Julją Machczyńską, Narcyzą Żmichowską, której wydała „Złote myśli“.

Korespondencje te złożone w różnych archiwach, znajdują się w Ossolineum i pozostaną ważnym przyczynkiem do historii owych czasów.

Nad grobem ukochanej Przełożonej cześć oddajemy zasłudze na niwie najcięższej pracy pedagogicznej w Polsce uciemiężonej.

Cześć Tej, która odeszła, pozostawiając w puściźnie wskazanie, jaką być winna polka z czynu, a nie z imienia.

Uczennica: A. Ostrzycka.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

PIĘKNY ZWYCZAJ.

Uroczystość Zwiastowania Najświętszej Marii Panny, obchodzona w Bułgarii według nowego kalendarza dnia 7 kwietnia, jest w tym kraju jednocześnie „Świętem Matki“. Jak nakazuje piękny obyczaj narodowy, w dniu tym, każdy powinien złożyć matce swej należny hołd szacunku i miłości — nie jako wynagrodzenie za poniesione przez nią przy wychowaniu dziecka trudy i ofiary, albowiem matka poświęca się dla dziecka swego bezinteresownie, nie żądając wzamian żadnej zapłaty — lecz jako wyraz głębokiej wdzięczności, która osłodzi jej niejedną ciężką, bolesną chwilę w starości.

Od wezwania tego rozpoczyna kobiece pismo Bułgarskie, „Więstnik na Żenata“ numer swój, poświęcony czci matki bułgarskiej. Zawiera on szereg artykułów i utworów poetyckich pióra znanych autorów i autorów bułgarskich, łączących się w zgodnym podniesieniu zasług i świętości macierzyństwa. Wśród myśli tam wyrażonych najbardziej może godnymi zapamiętania są słowa:

„Czcimy pamięć bohaterskich ojców naszych, zmagających się nieustraszenie z wrogami ojczyzny i składających swe życie w ofierze dla jej dobra. Lecz czyż nie większe jeszcze bohaterstwo okazały nasze matki, pozostając samotnie w domu dla opieki nad dziećmi, dla wychowania ich i wyżywienia? Sama, bez niczyjej rady, opieki i pomocy, wychowywała matka bułgarska młode pokolenie podczas straszliwych lat wojny. Bohaterstwu jej cichemu i wytrwałemu, nie cofającemu się przed żadnym poświęceniem, przed najcięższym trudem i najboleśniejszą ofiarą ze szczęścia własnego — oddajmy cześć w dzisiejszym Dniu Matki“.

NIEPRZYJACIELE OBECNEJ MODY.

Reakcja przeciwko obecnej modzie: krótkich sukien przybiera coraz bardziej wyraźne rozmiary i zatacza coraz szersze kręgi. Za przykładem greckiego dyktatora, generała Pangalosa, przepisującego greczynkom ustawową długość sukienek, pragnie obecnie pójść i królowa hiszpańska, która ogłosiła w swym kraju krucjatę przeciwko krótkim spódnicom, obnażonym rękami i głębokim dekolantom. Wątpliwem jest jednak, czy królowa osiągnie swój cel, nie mając do rozporządzenia tak drastycznych środków, jakich się chwyta dyktator Pangalos. Nietylko bowiem, jak wiadomo, ustanowił on policję kobiecą, sprawdzającą przepisową długość sukien damskich, lecz wydał jeszcze ponadto ostatnimi czasy rozporządzenie, które wywołało ogromne oburzenie wszystkich turystek, zwiedzających tak chętnie prześliczne greckie wybrzeże. Zabronił on mianowicie wpuszczania do portu wszystkich cudzoziemek, których suknie nie odpowiadają przepisanej w Grecji długości. Z tego powodu znaczna część turystek, przejeżdżających dla zwiedzenia pięknej ojczyzny niegościnnego dyktatora, zostaje zaraz po opuszczeniu pokładu statku zatrzymana przez posterunek policyjny i musi, jak niepyszna, wracać na statek zpowrotem.

Oburzeni tym brakiem tolerancji dla wymagań mody wielcy krawcy paryscy odbyli konferencję, na której rozważaną była sprawa reagowania na takie objawy buntu przeciwko wszechwładnym dotychczas kaprysom wielkiej mody. Na znak protestu uchwalono wreszcie, że cała Rue de la Paix lanso-

wał będzie tualety jeszcze krótsze, niż dotychczas! Niektórzy wielcy koryfeusze mody odgrążali się, że narzuca swym zwolennikom na okres letnich upałów sukienki, nie sięgające nawet kolan.

Kto zwycięży w tej walce? Qui vivra verra!
Z. B.

ZJAZD KOŁA POLEK I JEGO DYREKTYWY

Stało się niejako zwyczajem, że Zjazdy Rady Naczelnej Kół Polek poświęcają przeważną część swych obrad pewnemu żywotnemu problemowi, na całoroczną działalność członkiniom swoim rzucając mocne i donośne hasło.

Ubiegłego roku hasłem takim była walka ze zbytkiem, ze sprowadzaniem towarów zagranicznych i wyjazdami zagranicę i t.d. jednym słowem z pograżaniem naszego bilansu handlowego w otchłań upadku. Problemy gospodarcze górowały wtedy nad wszystkim.

Tegoroczny 8-my Zjazd Rady Naczelnej Towarzystwa, obradujący w dniach 24 i 25 kwietnia w Warszawie, wysunął inne palące zagadnienie, inną wskazał dyrektywę 15 tysiącom stowarzyszonych: Walka z nieuczciwością we wszelkich jej przejawach—oto hasło, które z tego kobiecego sejmiku w świat poszło.

Hasło to, jak sądzimy, mieć będzie szeroki rezonans w kraju, oburzonym do głębi zjawiskami ostatnich lat, wzrastającymi w ostatnich miesiącach, tygodniach, dniach do niebywałej przedtem potęgą.

Obraz Zjazdu był nawet w zewnętrznych swych formach bardzo interesujący. Niezwykła skromność stroju, wyróżniająca zwłaszcza panie z prowincji, świadczyła, że, naogół, niema w tym zespole rozbratu między słowem, a czynem. Na tem tle pełnem powagi i prostoty nie raziły słowa referatu, piętnującego korupcję, błagę, niesumienność, podstęp, niecną spekulację itd. zarówno w życiu publicznem, jak prywatnem.

Referat był zbiorowy, złożony z 3-ch części. Wygłosiły go trzy panie: Ceysingerówna, Matuszewska i Pełczyńska, redaktorka „Bluszczu”.

„Serce narodu dotknięte jest głęboko—mówiła p. Ceysingerówna. Znam starców, którzy płaczą gorącymi łzami nad faktem, że Polska zmuszona jest dygnitarzy swoich sadzać na ławach oskarżonych, że w polskim korpusie oficerskim trafiają się coraz częściej łapownicy, przeniwiercy i zdrajcy.”

Podkreślając mocno paradoksalność obecnego momentu dziejowego, pozorną, bo wywołaną brakiem perspektywy historycznej, niemniej przeto niesłychanie bolesną dla oczu współczesnych, „bo dziś wszystko wygląda tak, jakby po to całym szeregiem pokoleń ginęli święci, by teraz mogli prosperować łapownicy, jakby po to setki tysięcy męczenników krwawe ślady bosych swoich stóp pozostawiło na śnieżnych drogach Sybiru, by teraz mogli rozbijać się samochodami spekulanci polityczni i wszelkiego rodzaju gawiedź nuworiszów”—wzywała mówczyni do walki ze złem. Radziła wytworzyć coś w rodzaju kontroli społecznej, któraby torowała drogę, współdziałała i ułatwiała zadanie kontroli państwowej. Wzywała do odważnego atakowania nieprzyjaciela i mężnego znoszenia prześladowań, „bo prześladowanym jest dziś w Polsce człowiek dczywy”, do śmiałego i chętnego świadczenia prawu.

Odmienne, a w sposób niezmiernie głęboki i bardzo życiowy ujęła sprawę p. St. Matuszewska.

Scharakteryzowawszy okresy powojenne, jako prowizorium nie tylko ekonomiczne, ale także moralne, jako atmosferę niepewności i niejasności, w której słabsze umysły i wątlejsze sumienia nie są w stanie zachować równowagi, ukazała na całym szeregu przykładów autentycznych, wziętych z najbliższego życia, jak nieuczciwość, a czasem tylko błaga jednych pociągająca za sobą cały szereg katastrof finansowych i załamania się moralnych całego szeregu innych ludzi.

Docierając do głębi dusz współczesnych, ukazała niemal w każdej z nich atom choćby nieuczciwości i błagi, tej „błagi, która nie ma odwagi nawet być poważnym grzechem kłamstwa, a jest źródłem rozlicznych obrzydliwości naszego życia”.

Miedzy niedokładnym wykazem stanu majątku do oszacowania podatkowego, a wielkiem przeniewierstwem państwowem—mówiła—droga jest oczywiście bardzo daleka, ale gatunek przestępstwa—ten sam. A któż tych drobnych nieuczciwości nie ma dziś na sumieniu?... One to składają się na wytworzenie ogólnego nastroju, w którym wyrastają wielcy przestępcy.

W wyniku rozumowania swego nawoływała prelegentka do rozpoczęcia sanacji od samych siebie, od bacznego wpatrzenia się w siebie i postępowanie swoje, a potem do wyrzucenia z duszy i z życia drobnych nieuczciwości, nikczemnej błagi, za której parawan tak bezczelnie chowają się tchórze, powodując zawody, rozdrażnienie powszechne i stan powszechnej, wzajemnej nienawiści.

P. Pełczyńska podjęła w swem przemówieniu moment upadku świadomości moralnej, który obecnie tak powszechnie zauważyć się daje. Ludzie współcześni zatracili gdzieś po krwawych ostępach wojny niewzruszone podstawy etyczne, subtelne pojęcie honoru. Nie rozróżniają dokładnie między uczciwem, a nieuczciwem. Należałoby więc wytworzyć surowy trybunał opinii, któryby ten zanik kryterjów moralnych leczył i nieuczciwość każdą nazywał po imieniu.

Treść zajmujących referatów podajemy, z powodu braku miejsca w najogólniejszych tylko zarysach. Wywołały one żywą dyskusję, nie zasadniczą oczywiście, ale dopełniającą w niektórych punktach namalowany przez referentki obraz ujemnych stron naszego życia, albo podającą sposoby przeciwdziałania złemu. Uwieńczeniem jej jest podana powyżej rezolucja.

Nie poprzestał Zjazd Koła Polek na tej negatywnej uwadze. Prócz bogatej, jak zwykle części sprawozdawczej, za bogatej, by można było zmieścić ją w ramach jednego artykułu, dotknięto także kwestji wychowania nowego człowieka w Polsce przez referat p. Niemyskiej na temat: „Świetlice, jako odrębna forma pracy kulturalno-oświatowej”.

Ponieważ temat ten będzie obszerniej omówiony w „Bluszczu”, tu zaznaczamy tylko, że na Zjeździe Rady Naczelnej Koła Polek stanowił on jakby pozytywny odpowiednik krytycznej części rozpraw.

Tym sposobem syntetyczna formuła Zjazdu brzmi: Zwalczając w Polsce dawnego, lichego człowieka, produkt lat niewoli i deprawacji wojennej—wychowywać człowieka nowego, o niewzruszonych podstawach charakteru, o rozległym horyzoncie myślowym, silnej woli i zdrowego fizycznie: harmonijnego człowieka przyszłości.

W tych dwu wskazaniach mieści się cały program pracy na lata najbliższe.







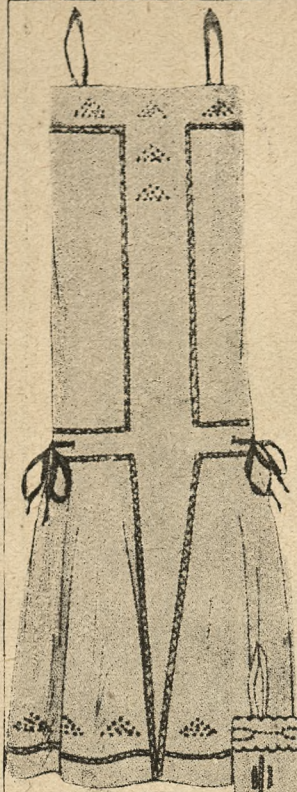
435.

436

437

438.

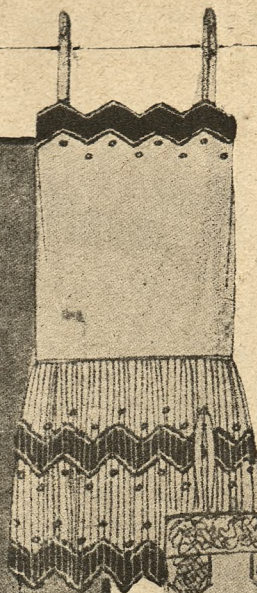
439.



440.



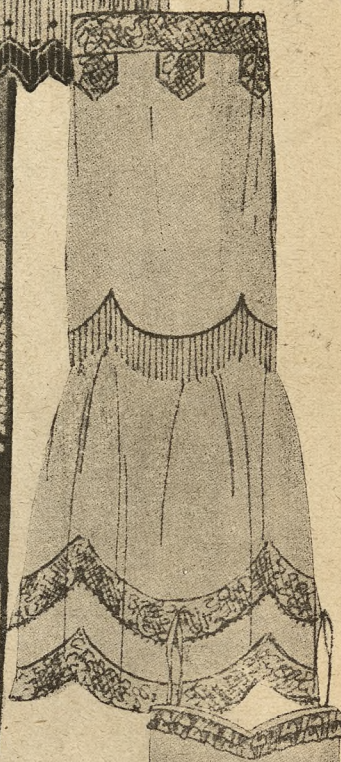
443. 444.



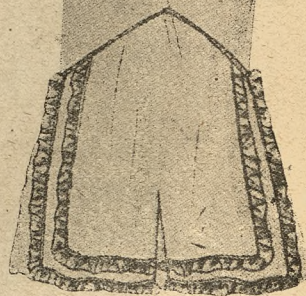
446.



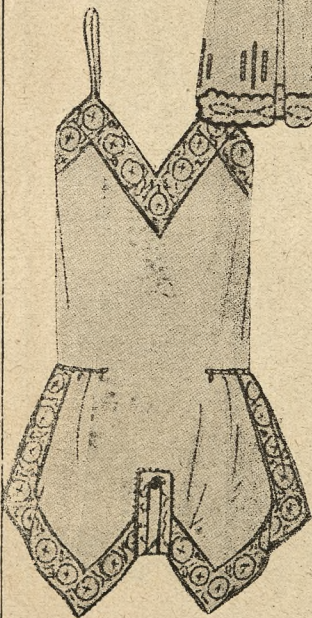
445.



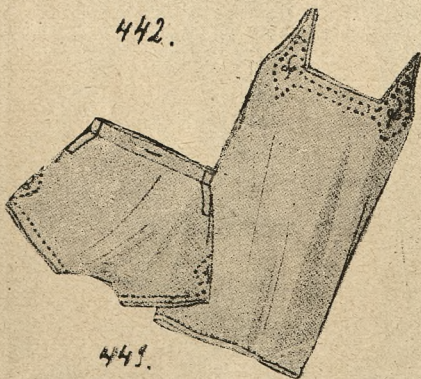
447.



448.



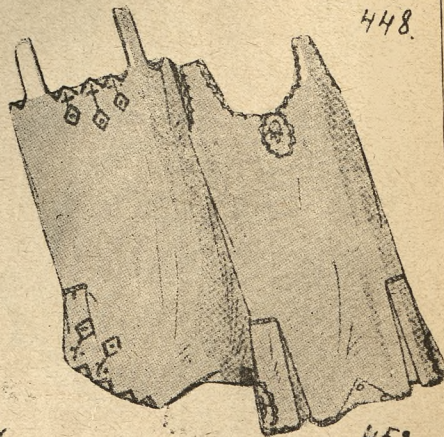
442.



449.



450.



451.

452.



1. Seledynowy
2. Kremowy
3. Piaskowy
4. Białoróżowy
5. Różowy
6. Zielony jasny
7. Zielony ciemniejszy

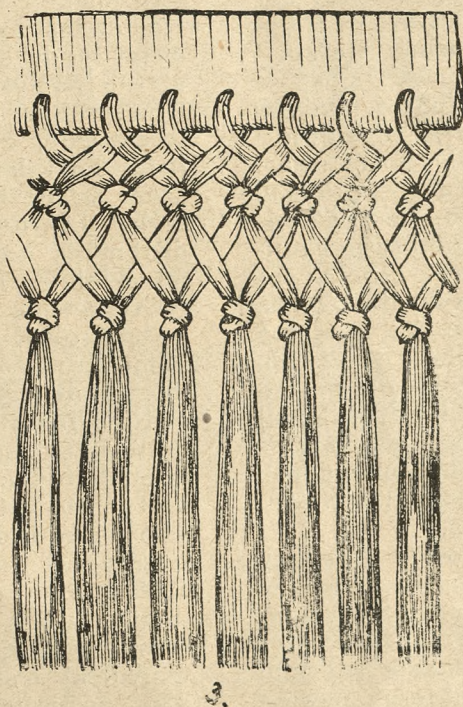
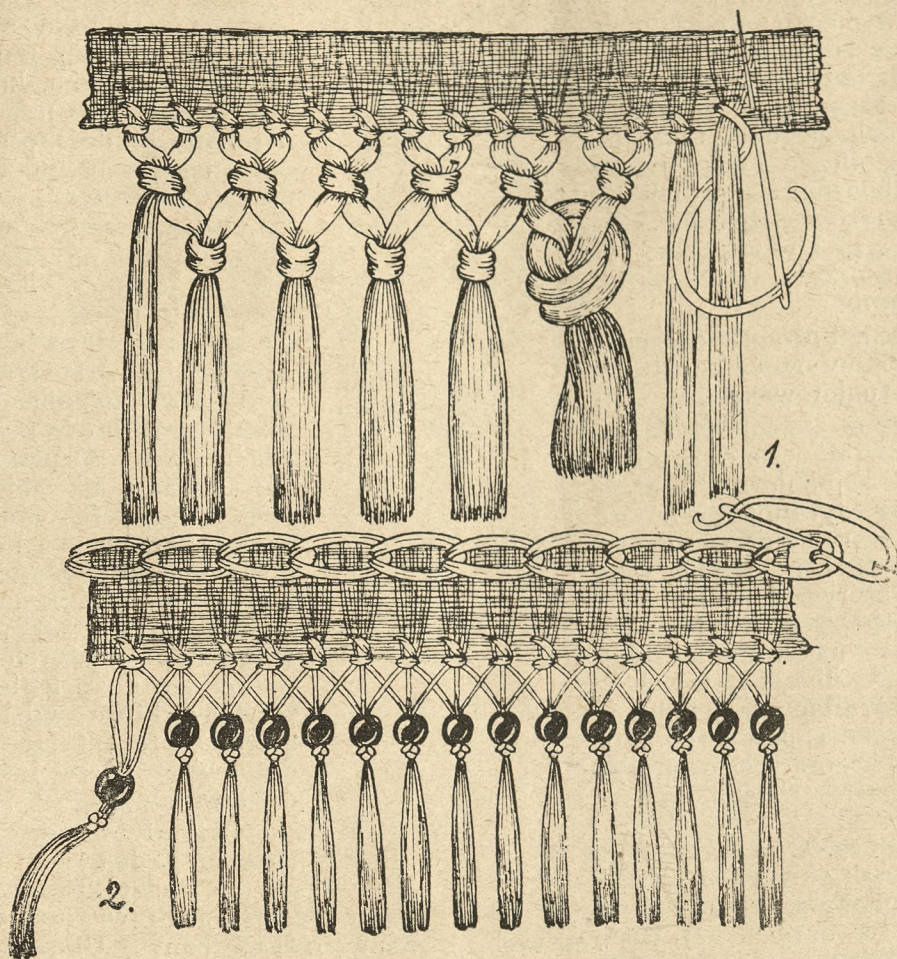
8. Zielony najciemniejszy
 9. Szafirowy
 10. Brązowy ciemny
 11. Brązowy jasny
- Liście w dwóch cieniach zielonych
Kwiaty w dwóch cieniach różowych
Środki popielate



RÓŻNE RODZAJE FRENDZLI

Bardzo modne przybrania z frendzli do sukien, szali, serwet i poduszek można zrobić w domu, wyciągając nitki z danych materiałów, albo dobierając kolorem wełnę, jedwab, bawełnę i t. p. Rys. Nr. 1 przedstawia frendzlę z nitek wyciągniętych, jak na mierzki — rozrachowane równo, umocowane poprzednio wyciągniętą nitką w sposób na rysunku wskazany, nitki wiążą się podwójnie. Przypatrzysz się uważnie rysunkowi, z łatwością zrobi frendzlę nawet mało zdolna do robót osoba. Na rys. 2 widzimy również z materiału wyciągniętą frendzlę, od góry ujętą rzędem łańcuszkowych oczek, igłą zrobionych — rozrachowaną po trzy nitki, które, po dług rysunku, wciągają się w paciorki drewniany, dobrany kolorem i zwiążuje pod paciorkiem w gruby supełek. Długość nitek dowolna. Frendzli paciorkowych nie używa się do robót włóczkowych i lnianych, pozostawiając je do sukien i chustek z crêpe de chine'u. Frendzla Nr. 3 z lacet, filoflosu, bawełny merseryzowanej, wełny, lub włóczki, da się zastosować do szali i chustek trójkątnych, serwet, poduszek i t. d.

Do rzeczy haftowanych na płótnie nie można naturalnie

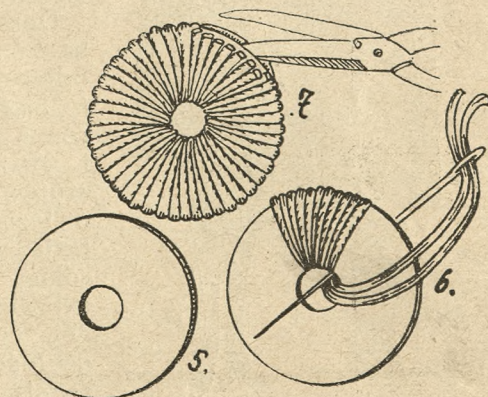
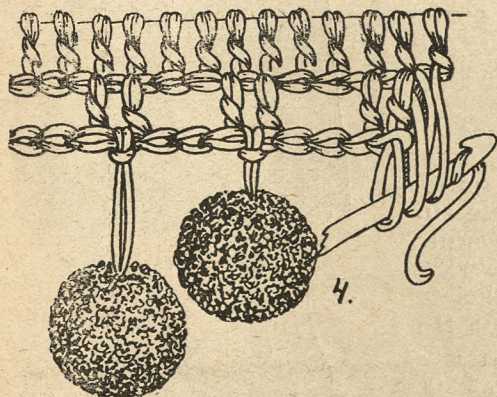


użyć frendzli z lacet, lub jedwabiu, zadawalniając się krętą, grubą bawełną, używaną do robót wiązanych — bardzo ładną i trwałą.

Pokrajawszy odpowiedniej długości nitki, zapomocą gru-

bej igły przeciąga się je przez założony brzeg materiału, wiążąc następnie tak, jak rysunek wskazuje. Modnych bardzo długich frendzli przy szalach i chustkach nie wiąże się więcej, jak jeden, lub dwa razy. Pompony zawsze użyteczne, czy to do kap i serwet meblowych, czy też do rolet, lub do wykończenia gospodarskim sposobem obijanych mebli, służą także do przyozdabiania kapelusików i беретów dzieciennych i stanowią cenny materiał do różnych fantazyjnych pomysłów.

Robi je się z filoflosu, wełny i bawełny, na dwóch równych kółkach ze sztywnego bristolu (rys. Nr. 5), z dziurką w środku. Od wielkości tych kółek zależy wielkość pompona. Krążki takie, dwa równo złożone, obwijamy grubo włóczką (rys. Nr. 6), następnie przecinamy u góry ostre nożyczkami (rys. Nr. 7), mocno ściskamy i związujemy w środku nitką lnianą — wyjmujemy z tekturek, tulamy kulki w dwóch dłoniach i strzyżemy je do równości. Im więcej nawinięte kółka, tem pompon sutszy i bardziej nabity, co stanowi jego urodę. Robiąc jedwabne pompony, do torsadek i do беретów — robi się je luźniejsze.



SPORTY LETNIE

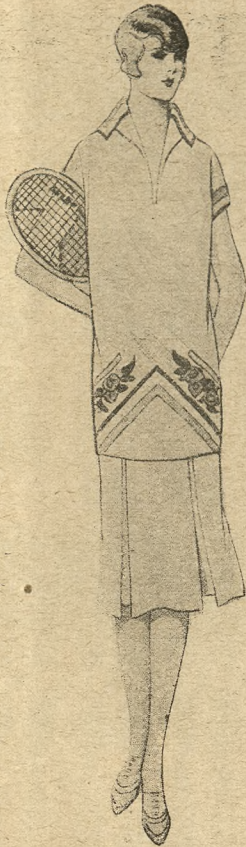
Sporty letnie wymagają specjalnego przygotowania, ma się rozumieć mówię tutaj o przygotowaniu toaletowym, bo w sportowe przygotowanie dzisiejszego pokolenia wątpić nie można. Dochodzi ono, szczególnie zagranicą, do zenitu, a pisma, będąc rzecznikami opinii publicznej, zaprawiają artykuły swoje, tej poświęcone dziedzinie, kropłą lęku, czy czasem pęd nie jest zbyt żywiołowy i zbyt na niekorzyść wszelkich innych dążeń zachłanny.

Nie broniąc tego, ani przeciwnego punktu widzenia, rozpatrzmy rzecz ze strony specjalnej, ze strony toaletowej.

Otóż sporty mają swoje kolory! Tennis jest biały, wszystko, co łączy się ze sportem samochodowym, winno być koloru pyłu drożnego, jeżeli odporna praktyczność cechować ma strój nasz, czy to w roli kierowczyń, czy poprostu miękko w poduszki siedzenia wtulonych wybrankach losu, którym dana jest rozkosz pochłaniania przestrzeni i upajania się zawrotnym pędem, wioślarstwo ma w sobie coś granatowo-białego, golf jest barwny, hip-pika ciemna w tonie o szlachetnej linii angielskiego kroju, turystyka dźwięczy nutą podkutego obcasa, taniec, który w ostatnich latach pod rubrykę sportów wciągnięto, jest różnobarwny.

Zacznijmy od tenisa, który zawładnął w wiosennym sezonie tak gorączkowo krajną słońca, Riviera podawała sobie piłkę z rąk do rąk bez wytchnienia, a sławy świata w zręcznych skokach płały po kortach Cannes, Deaulieu, Monte-Carlo, walcząc o palmę pierwszeństwa. Z obowiązku sprawozdawczyny, której kazano śledzić i podpatrywać modę o każdej porze dnia, w każdym jej przejawie i drgnieniu, mniej uwagi poświęcałam samemu sportowi, ile tak zwanemu sportowemu rynsztunkowi, który w zastosowaniu do tenisa jest nie tak podatny kaprysom władczyni, zachowuje on stale pewną cechę białej prostoty, która z małymi indywidualnymi odchyleniami jest niezmienna.

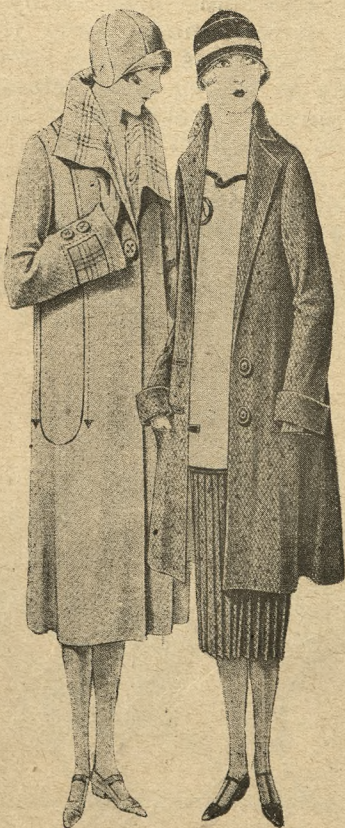
Doskonale osadzony na nóżce wygodny i w odporną podeszew ujęty biały pantofel, któremu dodaje wdzięku i charakteru pewien stopień zużycia, głowa owiązana barwną materją, w kształcie szerokiej wstążki przez skronie się przewijającej, w razie zbytnej czułości wzroku na grę światła specjalna cza-



peczka o białym skórzanym daszku i o lekkiej siatkowej główce, spódniczka swobodna, plisowana, krótka koszulka trykotta, jumper, lub najmodniejszy pull-over, no i rakietą, co do której wypowiadać się trudno, jest ona indywidually i każda ręka inną rozkoszować się będzie.

Wiosenna pora wymaga odpowiedniego uodpornienia na zaziębienie nie tylko w czasie gry, ile po grze, kiedy to rozgrzane ruchem i wysiłkiem ciało wystawione jest na chłodny nieraz jeszcze bardzo powiew, szczególnie o zachodzie słońca zdradliwy i podstępny. Łatwo zapobiec temu, biorąc ze sobą ciepły szal, który po grze na ramiona zarzucić trzeba. Druga praktyczna wskazówka, to unikanie jak najstaranniejsze wszelkich tanich pantofli tenisowych, których na rynku sportowym pojawia się co roku mnóstwo, a które niepostrzeżenie toczą nasz budżet, wysączać małe miarówki wprawdzie dawkami jego życiodajną siłę. Jedna para dobrego odpornego, chociaż drogiego obuwia, opłaci się dużo lepiej, niż legjon tych pantofelków, które pod koniec sezonu stają do szeregu, prezentując swe mniej, lub więcej dotkliwe rany, co je sprowadzają do urzędu inwalidów.

Ostatnie numery pism i żurnali francuskich podają nam śliczne modele sportowe, pomiędzy którymi spotykamy się przeważnie z kreacjami wykonanymi z nowych a tak pomysłowych tkanin. Ujrzały one światło dzienne pod mianem „Créations Rodier”, gdyż znany paryski Rodier jest tym, który je powołuje do życia i w świat mody lansuje. Tkaniny te odznaczają się mierną pomysłowością, a wszystkie są tkane w desenie, z których ostatnim i najmodniejszym są bezlistne gałązki, gdzieniegdzie drobnymi kwiatkami zdobne. Materiały te stosownie do grubości, rodzaju nitki i koloru noszą odrębne miano, dzieląc się na rodziny o dziwnych definicjach, które spamiętać trudno, a spolszczyć nie można. Te wzorzyste i delikatnie barwne śliczności służyć nam będą do tworzenia ciakawych kombinacji. Łączone z gładkimi materiałami dają zestawienia charakterystyczne i nowe. Spotyka się wiele sukienek sportowych, których jumpry, wykonane z tych właśnie tkanin, rzucone na tło jednokolorowej plisowanej spódniczki, two-



rzą kombinacje niezastąpione. Przecho-
dząc do sportu samochodowego, który
tak wielką gra dzisiaj rolę i rozrasta
się u nas z europejską szybkością, na-
leży zwrócić uwagę jego adeptów, na
niszczyielskie mistrzostwo, z jakim
odznacza się w stosunku do podróże-
go ubrania, dlatego też sprawie uodpor-
nienia w tym wypadku trzeba poświęcić
się z umiejętnością i uwagą. Szczegól-
niej barwy płaszczy i kostjumów winny
być specjalnie wytrzymałe. W pierwszym
rzędzie zaleca się skórę i wszelkie ma-
terjały mało plamiste i nie gniotące się
łatwo. Przy jeździe samochodowej trze-
ba liczyć zawsze na nieprzewidziane, a
to nieprzewidziane kończy się nieraz
pieszym marszem, wśród pyłu i kurzu,
lub w najlepszym razie siestą na bur-
cie przydrożnego rowu, w oczekiwaniu
aż srogi zwierz nabierze nowego oddechu.
Jak wyglądałybyśmy w sytuacji takiej
przystrojone w barwne szmatki i obute
w jakiś misterny i lekki, pleciony san-
dałek, któremu za podłoże służyłyby
ostre kamienie szosy, lub przepaściste
piaski „polskiej drogi“.



Obszerny niezbyt lekki płaszcz
(szybki pęd samochodu nawet w ciepłe
i słoneczne dni umie przejąć dreszczem
chłodu), doskonale na głowce osadzo-
na czapeczka sportowa, skromna, a prostotą swą
powabna sukienka, dokoła szyi owinięty niczem
kwiat barwny i wesołą nutą całość ożywiający nie
szal już, a szalik, bo ten tylko jest dzisiaj modny
prawdziwie, wygodny na sprzączkę zapięty panto-
felek, którego niski obcas i gruba tak zwana pasowa
podeszew, oraz kształt nie krępujący nogi, w każdym
wypadku staną na wysokości zadania i dadzą nam
bezcenne poczucie stosownego i wykwiniego wy-
glądu. Obuwie sportowe, z grubego zamszu, krokody-
lej skóry, kombinowane z gemzy i skóry wężowej,
z zamszu i lakieru, w lecie białe z domieszką czer-
ni, lub bronzu, winno być koniecznie w wysokim
bardzo gatunku, bo tylko wtedy pomimo intensy-
wnego noszenia i śladów niezatartych, jakie ono zo-
stawia, do dni swych końca nacechowane będzie

pewną dozą niezatartego wykwinu, na-
wet zelowane i reperowane nie straci
nigdy fasonu, a wiadomą jest rzeczą, jak
ważną rolę w ogólnym wyglądzie gra
dobrze obuta noga.

Rękawiczka sportowa i podróżna
winna też mieć cechy specjalne. Pierw-
szą i najważniejszą jest, aby zrobiona
była ze skóry, piorącej się poprostu w
wodzie z mydłem, jeden dzień spędzony
w aucie, czy wagonie wystarczy, aby ręk-
kawiczki zbrudziły się doszczętnie, a
wówczas możność uprania ich od ręki
jest nieoceniona. Trzeba jednak robić
to umiejętnie, inaczej stracą fason, kur-
cząc się, lub rozciągając nadmiernie,
wieszać je trzeba zawsze dopiero po na-
daniu im kształtu dłoni, co da się
osiągnąć naciągnięciem mokrej ręk-
awiczki na rękę. Rękawiczki prane w roz-
gotowanym mydle o temperaturze za-
ledwie letniej, z domieszką kilku kropel
gliceryny, winny być po wyschnięciu
mięciutkie i gładkie, jak nowe, trzeba
tylko pamiętać o tem, aby wieszać je
z mydłem, nie płószcząc w czystej wo-
dzie, a zmieniając poprostu mydliny do
chwili zupełnej ich czystości.

Pantofle i czapki ze skóry zam-
szowej czyścić należy szczoteczką spe-
cjalną z drutu, unikając prania ich ben-
zyną, co pozostawia zawsze zacieki, gdy tymczasem
szczoteczka taka, nie tylko doskonale czyści plamy
i zmatowania wynikłe n. p. od zapryskania wodą,
ale przywraca skórze zamszowej świeżość, pozwala-
jąc obejść się nawet bez proszku, czy kamienia, któ-
rym zazwyczaj czyszczą takie pantofle, a które smo-
lą ręce i jasne pończochy.

Nie dosyć jest, znając swój typ, wybrać ładne
materiały, udane i stosowne fasony, utrzymać ca-
łość w kolorycie i linii, to dopiero początek, praca
zaczyna się z chwilą wejścia w posiadanie ubrania,
które utrzymać w odpowiedniej świeżości, to niela-
da umiejętność i trud, a tylko wtedy służy nam ono
wytrwale, estetycznie i amortyzuje się racjonalnie
bo im dłuższa era jego trwania, tem ekonomicznie
wypada kalkulacja.

W. D.



I ZNÓW REMINISCENCJE

Mimowoli wracam do tytułu, pod którym rzu-
ciłam jesienią na łamy „Bluszczu“ garść spostrze-
żeń i wrażeń, wracając z samochodowej wycieczki,
poprzez cudowne, malownicze Pomorze. Wówczas
to, znużona szarzyną żywota, na złocistym piasku
morskiego wybrzeża, kołysana rzeźkim powiewem,
cała w słońce, niczem w królewski płaszcz wtulona,
dziękczynnym hymnem uderzałam w niebi sa.

A jednak, kiedy przysł czar obcowania z naturą

i za sprawozdawcze pióro chwycić przyszła chwila,
zachwyt przesiał się przez sito pamięci, a to, co po-
zostało, gorzkim popłynęło słowem.

Dzisiaj jest inaczej. Wracam z szerokiego świata.
Jakiś dobry Bóg, co w łaskawości swojej kojącą
dłonią wiedzie maluczkich ku światłu, nazaczył
dni moje smugą jasności.

W wilgotny, melancholijny ranek połąknął mnie,
niczem bezbronną ofiarę, kurjer międzynarodowy

i tak rzucana dalej po świecie, przez Berlin, Medjolan, Genuę w cudownie ciepłą noc, rześkim, wiosennym deszczem świeżą i wonną, ocknęłam się w krainie radości i słońca.

Zaledwie wstał ranek, już zdobyła mnie bojem wstępnym siła wielka—radość życia. Niezmacony błękit i słońce, słońce.

Idę ku morzu, tak dobrze i dawno mi znaną prynypalną arterją, dawnej Avenue de la Gare zwaną a dzisiaj, jak wszystkie prawie ulice Nicei, noszącą miano, ściśle z epoką zwycięskiej wojny związane, i cieszę się pełnią życia i czynu, jaką drga ulica. Ma ona swoje życie swoiste, upajające, życie pełne melodji, ruchu, woni i barw.

Pomimo niedzieli wszystkie sklepy otwarte. Piętrzą się stosy mandarynek gałązki kwiatu pomarańczowego, wiązanki fiołków, kiście mimozy, olbrzymie nicejskie gwoździki, kosze artystycznie ułożonych, a jeszcze artystyczniejsze spreparowanych owoców kandyzowanych, osmażane kwiaty z fiołkami i listkami wybitnie wonnej róży na czele. W jakimś prowizorycznie wzniesionym, a strojnym i estetycznym namiocie, pieką w oczach publiczności wafle, rozciągające silną woń wanilji, to znów w perspektywie śnieżno białego sklepu widać gigantyczny rozeń, obracający się miarowo, a ciężki od pozłocistych ciał kurcząt, lizanych płomykami ognia i obficie tłuszczem ociekających, aby za chwilę, z uderzeniem dwunastej, w sakramentalnej godzinie lunch'u, przejść w ręce tych, co mieszkając prywatnie, nie chcą sobie zakłócić wywczasów myślą o przyrządzaniu posiłku, a z jakichkolwiek względów wolą jeść w domu, niż w restauracji. U wejścia do tegoż sklepu widać na niewielkim stolczku tafelę kryształowego lodu i misternie poukładane na jej powierzchni porcyjki sera śmietankowego, co wraz ze złociście przysmażonemi, a w karneciki pakowanemi kartoflami, złoży się na dopełnienie tego śniadania, co niby za uderzeniem różdżki czarodziejskiej spadło wprost z nieba. Dalej olbrzymia tafla szklana, to fronton cukierni-piekarni, poza nią stoły uginające się od gorących rogalków i ciastek wszelkiego typu, w głębi widoczne piece gazowe, które co chwila wyrzucają z czeluści żarem tchnących typowe francuskie „brioches”, na które czeka rzesza głodnych i smakoszy, wyciągając pożądlive ręce ku otworom wyciętym w szybie kryształowej, przez którą odbywa się ekspedycja.

Rogi ulic poprzecznych są wybitnie ożywione. Na każdym z nich przysiadł jakiś cudotwórca. Jeden mozolnie i uciążliwie gniecie parę męskich spodni, aby w jednej chwili nadać jej świeżość nienaganną jakimś specjalnie skonstruowanym drutem, co pręży materiał, wygładzając go równocześnie, drugi jednym zręcznym ruchem związa rozpuszczone spłoty fryzjerskiej lalki w modny walek, zapomocą elastycznej i dobrze pomyślanej przepaski, co półpięścieniem obejmuje głowę, inny znów wywabia płamy w okamgnieniu, lub posiłkując się specjalnem mydełkiem odbija na papier wizerunek Briand'a, który ozdabia

poranne wydanie dzienników, wskazując w ten sposób praktyczność preparatu, służącego do odbijania deseni, a wszyscy wyrzucają tysiąc słów na minutę, z potoczystością, dowcipem i przytomnością umysłu, właściwą jedynie francuzom.

Gdy się zbliżam ku morzu, tętno życia wzrasta. Zmienia wprawdzie coś niecoś charakter, wyzbywając się cech praktyczności na korzyść tego, co związane jest silniej z kaprysem i wykwinem, niż z potrzebą dnia codziennego.

Plantacje na placu Massena w pełnym rozkwicie. Klomby strojne barwnymi gwoździkami i cynerarjami o bogatych kiściach mają misterne pałaki osnute zielenią tak, że robią wrażenie koszyków z kwiatami, trawniki szmaragdowo zielone, palmy szemrzą bogatemi koronami, kołysane powiewem od morza. Plaża, a właściwie promenada rci się od tysiącznego tłumu, a ci, którzy tak umiejętnie żyją z niego, służąc kaprysowi i potrzebie, krążą niezmordowanie, łowią podatną chwilę.

Japończyk ofiarowuje perły japońskie, tak bardzo dziś modne, a właściwie niczem prawdziwym nie ustępujące, bo wytworzone przez umiejętną, a sztuczne wprowadzenie do wnętrza muszli obcego ciała, które, drażniąc swoją obecnością mieszkańca tej skorupki, zmusza go do wydzielania cieczy i oblewania nią danego przedmiotu. Przy wprowadzeniu do muszli odpowiedniej wielkości kulki, przyspiesza się tem samem wzrost perły, co pozwala na tańszą kalkulację przy sprzedaży. Persi i Turcy roznoszą dywany i makaty, barwnie ubrany Hiszpan specjalną biżuterję hiszpańską, misternie cyzelowaną, wieśniaczki francuskie w strojach miejsc, z których pochodzą, koronki ręczne od grubych do najdelikatniejszych, ruchliwy i hałaśliwy sprzedawca okularów z kolorowego szkła, chroniących wzrok od zbyt ostrych refleksów świetlnych, idzie w zawody z pociesznym indywiduum, co jak pod ziemię wyrasta przed każdą niezaopatrzoną w parasolkę osobą, częstując ją specjalnemi, na różne strony przechylanemi parasolikami, do jednostronnego cieniowania twarzy przeznaczonemi, których wybór jest urozmaicony i bogaty. W wesołą nutę gwaru ludzkiego pada krzykliwe nawoływanie sprzedawców gazet, którzy, tak mężczyźni, jak kobiety, strojni w rodzaj mundurów i czapki z napisami, wywołują nazwy pism reprezentowanych w sposób dziwaczny, wnikliwy, czasem niezrozumiały, to znów młodyjny i miły dla ucha

Ponad wszystkiem góruje lot mew, gra skrzydeł, co biją chwilami o głowy wiernych karmicieli, zniżając się do rąk wyciągniętych ku nim, a zbrojnych w pożywienie i bezustannie powtarzana w muzyce i pieśni, oficjalnie za karnawałowo-reprezentacyjną uznana piosenka, która, odtworzona przez rodzinę kompozytora, dźwiękiem, słowem i tańcem wkłada się dzień cały do ludzkich uszu, dopóki z chwilą podpalenia stosu, na którym w środę popielcową płonie corocznie „Le Prince Carnaval”, nie zamilknie ona na wieki.

W całym tym rozgwarze brakuje mi nad wyraz zapamiętanego z czasów przedwojennych głosu, któ-



ry, kalecząc zlekka wymowę, anonsował codziennie Kurjer Warszawski. Dzisiaj trudno tu o polskie piśma, jeżeli są, to przychodzą nieregularnie, a już o publicznem sprzedawaniu ich mowy niema. Wogóle w tym różnojęzycznym tłumie znikamy, jak marne ziarno piasku na pustyni i to jest właśnie cierni, co tkwi mi w sercu głęboko i do napisania słów tych skłania. Niema narodowości, która nie rzucałaby się czemś w oczy, my tylko jedni przechodzimy tu niepostrzeżenie, a jak mało o nas wiedzą, wystarczy przytoczyć fakt, że nie zdarzyło mi się wśród licznych pensjonatowych znajomości, aby zadziwieni odrębnością akcentu ludzie obcy, odgadując narodowość moją, choć raz wymienili słowo „Polka”.

Przed wojną przeżyłam w tejże Nicei znamienne chwilę. W jednym z dużych magazynów, który odwiedzałam dość często, lubując się specjalnie artystycznymi kwiatami sztucznymi, w jakie obfitował, a które wówczas były ostatnim krzykiem mody, nawiązałam kiedyś rozmowę z jedną z panien ekspedujących, która zainteresowała się kwestją mojej narodowości. Zapytana, objaśniłam ją o swem polskiem pochodzeniu. W dyspacie, jaka wywiązała się między nami na skutek tego prostego faktu, fran-

cuska była nieustępliwa, tłumacząc mi po kilkakroć, że myślę się zapewne w określeniu, będąc niezawodnie rosjanką. Po długich historycznych i dziejowych debatach zdołałam ją wreszcie przekonać, nie, że jestem polką, bo to nie mieściło się w jej wyobraźni, ale że nie jestem rosjanką, na co zgodziła się, chrzcząc mnie mianem nie „russe”, a „sujet russe”, uderzając we mnie gromowładnym argumentem dostosowanym do mojej polskości: „Vous n'êtes pas un peuple — vous n'avez pas d'armée!”

Otóż przesadą byłoby twierdzić, że uświadomienie od tamtej chwili nie zrobiło ani kroku naprzód, a jednak, abyśmy nie to stali się popularni, ale przestali wśród szerokich mas być niepopularni, trzeba lat i pracy, pracy umiejętnej, celowej, planowej i to nie pracy pojętej górnio, bo ta się już robi i działa w sferach wybranych, ale pracy na terenie codziennego życia, która nie słowem, a faktem mówiłaby o nas ciągle i stale. Trzeba rzucić obcym przed oczy coś porażającego, coś, co zaciekałoby ich wzrok, podbiło słuch, co kazałoby się pożądać zmysłami, na zadowolenie których ludzie są najmniej odporni i o tem właśnie mówić pragnę.

(c. d. n.)

N...ka.



Z DZIEDZINY KOSMETYKI

O OPALANIU SIĘ.

Wobec trudności w rozwiązywaniu dawnymi metodami zagadnień leczniczych obecnie przyszła kolej na fizjologję, która stała się podwaliną fizjatrii czyli przyrodolecznictwa.

Fizykalne leczenie posilkuje się czynnikami fizycznymi, jak wodą, powietrzem, elektrycznością, światłem i ciepłem, które rozwijają siły człowieka zdrowego, a w licznych chorobach wykazują nadzwyczajne wyniki lecznicze. Można zaobserwować doniosłe znaczenie wpływu słońca na ustrój żyjący. Wzrost danego ustroju żyjącego jest w ścisłym związku ze światłem, albowiem zwierzęta tego samego gatunku i rodzaju, rozwijające się w świetle i bez niego, wykazują olbrzymią różnicę wzrostu na korzyść rozwijających się w świetle. Również zostało stwierdzone, że światło słoneczne działa hamująco i niszcząco na rozwój bakterij i zmniejsza ich jadowitość.

Pod wpływem słońca następuje lepsza przemiana materji, wzrasta się przyjmowanie tlenu, wydzielanie kwasu węglowego i pary wodnej. Za pośrednictwem więc skóry następuje żywsza przemiana materji, promienie słoneczne działają pobudzająco na zakończenie nerwów skórnych, te podnieci zapomocą nerwów dochodzą do ośrodków nerwowych, mięśni i nerwów gruczołów o wewnętrznem wydzielaniu (gruczoł tarczycowy i przytarczycowy, nadnercza, przysadki mózgowej, gruczołów płciowych i gruczołów wkrewnych). Krążenie również ożywia się

dzięki wzmożonej pracy serca — naczynia limfatyczne stają się bardziej wrażliwe.

Zaobserwować też dało się bardzo ważny dodatni wpływ promieni słonecznych na systemy nerwowe i stany psychiczne. Poza tem faktem jest, że brak światła wpływa upośledzająco na tworzenie się czerwonych ciałek krwi i barwnika skóry, co zostało wykorzystane przy leczeniu anemii. Z narządów na działanie światła najbardziej jest wystawiona skóra. Światło, działające na skórę, powoduje powstawanie pewnego barwnika, właściwie nieznanego pochodzenia, prawdopodobnie pochodnego tyrozyny. Tyrozyna — jest to surowiec, z którego nadnercze tworzy adrenalinę, tak bardzo potrzebną dla życia ustroju.

Pierwszym dodatnim dowodem lepszej przemiany materji jest powstawanie tego oto barwnika w skórze. Dłuższe działanie światła wywołuje zaczerwienienie się skóry, z następniemi objawami oparzenia świetlnego, bolesności i tworzenia się pęcherzy. Przy powolnem działaniu światła skóra stopniowo się opala, albo ogólnie, albo w postaci piegów. Opalanie się jest wynikiem działania chemicznego promieniami światła, a złogi barwnika osadzają się w warstwie podstawowej naskórka i ochraniają ustrój przed wnikaniem promieni światła w głąb skóry. Tem się tłumaczy zjawisko, że południowcy mają zawsze w skórze większą ilość barwnika. Faktem jest, że ludzie łatwo opalający się są bardzo podatni do leczenia światłem.

Uwzględniając te wszystkie czynniki stosu-

jemy na pierwszym miejscu w najnowszym lecznictwie leczenie kąpielami słonecznymi, a więc: przy chorobach nerwowych, stawów i kości, anemji, gruźlicy, cierpieniach złej przemiany materji, reumatyzmie, chorobach kobiecych, przy zaburzeniach gruczołów o wewnętrznym wydzielaniu, wyczerpaniu, chorobach skóry, zwłaszcza przy łojotoku, i wypadaniu włosów na tle łojotokowym. Różnego rodzaju choroby skóry, niedomagania cery doskonale się leczą zapomocą słoneczno-powietrznych kąpeli z warunkiem, że czas kąpeli i ilość jest ściśle przez lekarza przepisana i skontrolowana. Kąpiele słoneczne i powietrzne działają cudownie na cerę, lecząc w większości wypadków jej braki i dolegliwości.

Kąpiele słoneczno-powietrzne należy stosować nie tylko na organizmy chore, lecz także na zupełnie zdrowe. Nowoczesna higiena uczy nas, że należy nie tylko unikać tego, co zdrowiu szkodzi, lecz przede wszystkim podnieść odporność ustroju na czynniki szkodliwe i starać się hartować systematycznie od najmłodszych lat.

Wszelkie wydelikacenia się, brak zahartowania zmniejsza siłę odporności wrodzonej i nabytej każdego organizmu, odbijając się fatalnie na zdrowiu. Kobieta dojrzała, która dotychczas się nie hartowała, chociaż w wieku spóźnionym hartować się może. Należy jednak przedtem poddać ocenie lekarskiej swój stan zdrowia. Po skontrolovaniu i przekonaniu się że niema żadnej wady organicznej, potrzeba rozpocząć zabiegi, jednak bardzo ostrożnie i powoli. Nigdy podczas jesieni i zimy, natomiast wiosną, a zwłaszcza lato, ogromnie się nadają do rozpoczęcia okresu hartowania.

Tylko w krótkich słowach omówiłam, jak ważnym czynnikiem dla organizmu ludzkiego jest wpływ światła i słońca. Światło, konieczne do życia ustroju, przez skórę jest filtrowane do organizmu, a promienie szkodliwe dla ustroju skóra jak gdyby odrzuca od siebie. Promieni tych jednak może być taka mnogość, że parzą skórę na zewnątrz, tworzą bąble i zaczerwienienia, na wewnątrz zaś dają objawy zatrucia w postaci bólu głowy i innych przykrych dolegliwości. Dlatego też korzystanie ze słońca musi być czynione bardzo ostrożnie i bardzo indywidualnie. Są organizmy, które poprostu nie znoszą silnych promieni słońca, a wtedy należy wybierać jedynie półcienie. Koniecznym więc warunkiem zdrowia jest słońce i powietrze. Do tego celu przede wszystkim służą kąpiele słoneczne, lub też powietrzne. Kąpiele słoneczne rozpocząć należy od 5 minut, stopniowo zwiększając czas przebywania na słońcu, w ten sposób można doprowadzić zdrowy i silny organizm do parogodzinnego codziennego przebywania na słońcu.

W ostateczności kąpiel powietrzno-słoneczną urządzić można w mieszkaniu, lepiej jednak na świeżym powietrzu, bo w grę tu wchodzi ruch powietrza, niezwykle dobrze oddziałujący na skórę. W ra-

zie, jeśli kąpiele słoneczne, lub powietrzne są niedostępne z tych, lub innych powodów, bardzo wskazane jest wycieranie się na noc suchą rękawiczką, uszytą z grubego, lnianego płótna.

Takie wycieranie się suche całego organizmu świetnie wpływa na nerwy, doskonale hartuje, powoduje żywszą przemianę materji, przyjmowanie tlenu i wydzielanie się przez skórę kw. węglowego. Pozatem wygładza skórę i wpływa doskonale na samopoczucie i ogólny wygląd. Korzystanie ze słońca, powietrza i wody są to najważniejsze warunki pięknej i zdrowej cery!

Przy stosowaniu promieni słonecznych skóra się opala w większym, lub mniejszym stopniu: zależy to od promieni słonecznych i indywidualności skóry. Opalanie się jest niewątpliwie bardzo zdrowe, jeśli chodzi o higienę — natomiast z punktu widzenia estetyki stanowczo protestowałabym przeciwko opalaniu się bez uwzględnienia indywidualnego wyglądu danej twarzy. Są osoby, które tak brzydko i nieestetycznie wyglądają po opaleniu, że poprostu nie miałabym odwagi namawiać na opalanie się. Ogólnie powiedzieć można, że wszystkie brunetki, zwłaszcza z niebieskimi oczami, prawie wszystkie szatynki powinny opalać się intensywnie, natomiast blondynki w większości wypadków raczej unikać słońca. Pozatem osoby, które mają skłonność do piegów i podrażnień skóry, lub do nierównomiernego, plackowatego opalania się, powinny używać jedynie równie zdrowych kąpeli powietrznych, na słońce wystawiając całe ciało, starannie przykrywszy tylko twarz.

Czy używać należy kremów, lub tłuszców podczas opalania się? Mojem zdaniem koniecznie, gdyż przy działaniu promieni słonecznych, skóra zbyt szybko się odtłuszcza, powstają spierzchnięcia i nierównomierne plamy na twarzy i spalonych miejscach. Delikatny krem przeciwdziała zbyt niemu odtłuszczeniu się, wygładza spierzchnięcia i broni skórę przed zmarszczkami. Pozatem tłuszcz rozszczepia promienie słoneczne, każdy promień osobno działa silniej, wskutek czego skóra jednolicie i ładniej się opala. Najlepszym środkiem przy opalaniu się jest przezemnie wypróbowany „Mój krem” — przyczynia się bowiem do tego, że się skóra opala bardzo równo i estetycznie. „Mój krem”, jak również każdy tłuszcz w ilościach minimalnych, wetrzeć należy przed kąpielą powietrzno-słoneczną. Przy skórkach zaś bardzo wrażliwych i po kąpielach słonecznych. W razie niemożności używania „Mego kremu” na całe ciało, radzę używać, jako tańsze, olejek różany, rezedowy, lanolinę i mitynę, natomiast „Mój krem” stosować tylko na twarz. Stanowczo przestrzegam przed używaniem waseliny, gdyż nieoczyszczona może drażnić skórę i powodować wypryski.

Tym artykułem o opalaniu się zamykam sezon zimowy w „Bluszczu”, przesyłając moim czytelnikom życzenia wykorzystania wiosny i lata na zdobywanie największego zapasu zdrowia ciała, piękności cery i sił ducha.

Dr. J. Świtalska.



DWADZIEŚCIA LAT ZBOŻNEJ PRACY

Lat dwadzieścia temu, kiedy o niczem nie wolno było pisać w prasie stołecznej, chyba o teatrach, i to oględnie, lub o magistracie, i to z zastrzeżeniami, prawdziwym ewenementem było otwarcie szkoły gospodarstwa domowego, pierwszej takiej szkoły dla kobiet z inteligencji, „z towarzystwa”, jak wtedy mówiono.

Leżą przedemną połówki wycinki ze wszystkich gazet codziennych i wszystkich tygodników z tą datą.

Przyjęto tę nową placówkę pracy u podstaw serdecznie i gorąco, prasa codzienna podnosiła zasługi założycielki, pani Marty Norkowskiej, autorki chlubnie znanej książki kucharskiej p.t. „Najnowsza kuchnia”. Pisma ilustrowane umieściły fotografie z poświęcenia lokalu, którego dokonał ksiądz kanonik Chełmicki, obok księdza stoi dzisiejsza jubilatka z wiażanką kwiecica wiosennego w ręku.

I rozpoczęła się praca, praca na wielką zakrojona skalę. Dwa piętra domu przy ulicy Brackiej, jedno urządzone specjalnie na szkołę kucharstwa i prania, drugie na internat dla 30 panien. Program obejmował kucharstwo i cukiernictwo, wypiek ciast, nakrywanie i podawanie do stołu, pranie i prasowanie, szycie i reperacja bielizny, krój i szycie sukien, cerowanie, wywabianie plam, porządki domowe, roboty ręczne artystyczne.

Na żądanie mogły wychowanki korzystać z konwersacji, lub lekcji języków obcych. Jednym słowem był to program praktycznego dokończenia wychowania panny, która po ukończeniu pensji musi nabrać wiadomości praktycznych, aby móc odpowiedzieć wymaganiom stawianym pani domu i dobrej gospodyni.

Mieliśmy już parę zakładów takich na wsi, jeden w Chyliczkach pod Warszawą, drugi na razie w Kurniku, potem w Kuźnicach około Zakopanego—oba przeznaczone raczej dla panien ze wsi, panny z miasta otrzymywały możliwość nabycia wiadomości im potrzebnych bez przeciążenia siebie nauką mleczarstwa, hodowli drobiu i t.p. i bez odrywania się od domów rodzinnych.

Internat był zawsze przepełniony, bo kresy i prowincja przysyłały swoje córki po naukę umiejętnego prowadzenia domu. Przeszło sześć tysięcy uczennic p. Marty Norkowskiej poszło w świat zaopatrzone w wiedzę praktyczną, większość ich stosowało swe wiadomości we własnych domach, ale wiele, bardzo wiele wykorzystywało wiadomości nabyte fachowo, prowadząc gospodarstwo i kuchnię w domach magnackich, w hotelach, w pensjonatach.

Leżą przedemną wzruszające, serdeczne listy od takich byłych wychowanek. Przeszło lat dwadzieścia i takich lat dwadzieścia, które podwójnie się liczyć powinny, takie kataklizmy wstrząsnęły światem, że zdawało się, że wszystko dawno runęło, kobiety prawie wszystkie stanęły wobec konieczności samodzielnej pracy; w pierwszych latach samodzielnego Państwa Polskiego o tę pracę względnie łatwo było, urzędy przygarnęły setki i tysiące pracowniczek. Ale oto u nas, jak zresztą wszędzie w Europie, stosunki ekonomiczne się zmieniły, wszędzie się rozległo hasło oszczędności—i, idąc po linii najmniejszego oporu, zaczęto redukować kobiety. I zaczęło się wołanie o praktyczne wiadomości, o umiejętność prowadzenia oszczędnie domu, o fach jakiś, który łatwo sobie przyswoić, o szkoły kucharskie i gospodarskie.

Dzisiaj po dwudziestu latach pani Marta Norkowska, w tym samym lokalu, (internat tylko, jako za kosztowny na dzisiejsze czasy skasowany), zaopatrzonym we wszystkie udoskonalenia nowoczesne, dalej prowadzi swą szkołę. Uczennice przeważnie z inteligencji, młode dziewczęta i siwe panie, często zakonnice z klasztorów, czasem służąca z zamożnego domu, pracując codziennie od 9 do 12 rano, co ich nie odrywa od innych zajęć domowych, pracują nadal pod kierunkiem zasłużonej jubilatki, której pomagają: córka (dział cukierniczy) i dorastające wnuczki.

Pani Marta Norkowska przed wojną nieraz pisywała na łamach „Bluszczu”, to też specjalnie serdeczne życzenia długich jeszcze lat owocnej pracy jej składamy.

Pani Elżbieta.

Z TEKI MOJEJ BABKI

GOTOWANIE MIODU

Na życzenie „młodej gosposi” sięgam do chwilowo zapomnianej „Teki mojej babki”, aby wydobyć z niej na światło dzienne garść drogocennych przepisów ku zadowoleniu tej, która z nich korzystać będzie.

Odczytując przepisy, nasuwają się wspomnienia, a więc kapucyn z długą brodą, zjeżdżający na parę dni z sąsiedniego klasztoru dla sycenia miodu, wielkie kotły, wyciągane z różnych schowanek na tę uroczystość i niezliczone inne przygotowania, sprawiające dzieciom niebywałą radość. Naturalnie gotowało się miód w dużych ilościach, jak to dawniej bywało! a napełnione nim beczki ustawiało się w ciepłych piwnicach rzędem na legarach, aby podczas fermentacji swobodnie płyn mógł ściekać w podstawione pod nie naczynia.

Stosując się do dzisiejszych czasów przyjmę za normę garniec oczyszczonego miodu, czyli patoki (wagi lt. 14) „Młoda gosposia” dowolnie powiększy sobie ilość, a dokładnie wykonawszy przepis, przekona się, że najlepsze miody są domowe.

Chcąc otrzymać wino miodowe trzeba czysty miód patokę wymieszać z dystylowaną wodą, dolewając do jednego garnca miodu półtora garnca wody, wymieszać i bez gotowania, bez chmielu, drożdży i korzeni postawić w miejscu ciepłym do fermentacji. Temperatura, jeżeli to możliwe, powinna dochodzić do 18—20 stopni Reaumura. O ile chcemy przyspieszyć fermentację, a ciepłoty w miejscu, gdzie miód nastawiony, nie możemy doprowadzić do 20 stopni, można dodać na garniec czystego miodu

1½ deka drożdży. Najlepszy jednak i najcenniejszy jest pierwszy sposób bez drożdży.

Jeżeli chcemy mieć w miodzie smak owocowy, a pora odpowiednia, dolewamy na garniec miodu czystego, licząc bez wody, pół kwarty surowego soku wiśniowego, malinowego, lub dereniowego, a otrzymamy miód: maliniak, wiśniak, lub dereniak. Chcąc mieć miód do prędszego użytku, a tem samem przyspieszyć fermentację, gotuje go się w kociołku, kamiennym garnku, lub dużym rondlu, pilnując bardzo, aby się nie przypalił, bo wszystko będzie na nic, ciągle mieszając dużą warząchwią z dodatkiem garści chmielu i po troszku korzeni, jakich kto lubi. Gotując miód, na garniec bierze się dwa garnce miękkiej wody i gotuje się póty, póki ½ garnca nie wyparuje. Jeżeli dodamy więcej wody, miód łatwiej fermentuje i przed rokiem można go używać, dodając mniej wody, będzie esencjonalniejszy, dłużej musi postać, ale zczasem będzie lepszy i bardziej wartościowy.

Gotując miód trzeba zbierać szumowiny specjalną łyżką, a po wyszumowaniu zlewać go zaraz do beczulek, lub dużych gąsiorów, których nie korkuje się, tylko przykrywa rzadkiem płótnem, nie nalewając do pełna, boby nie mógł swobodnie fermentować. W czasie fermentacji powstaje na wierzchu płynu szum, płyn robi się mętny i z cichym szmerem wydobywa się z niego kwas węglowy. Kiedy skończy się fermentacja, płyn sam się klaruje, przekonać się o tem łatwo, biorąc w czystą szklankę trochę napoju i stawiając go w ciepłym pokoju, zeli nie pozostanie na wierzchu nic szumowin, to znak, że pierwsza fermentacja skończona. Wtedy trzeba zaraz filtrować miód przez woreczek flanelowy do beczulek, lub butelek i szczelnie zakorkować, aby płyn nabrał właściwego zapachu, czyli bukietu.

Miód po przejściu tej pierwszej fermentacji nabiera już smaku, fermentując później nabiera mocy, zapachu, a im dłużej stoi, tem staje się lepszym i droższym. Przytoczę tu jeszcze jeden sposób przyrządzenia doskonałego miodu bez drożdży.

Na garniec miodu z suszem wziąć 4 garnce wody ciepłej, ale nie gorącej, żeby się susz nie topił. Włożony miód do czystego worka płóciennego przelewać wolną wodą i rękami wygniatać, żeby go wiele w płótnie nie pozostało. Na 12 garnce płynu wziąć półtorej kwarty zielonych jagód jałowcowych, które wsypać do woreczka wraz z czystym kamieniem, aby woreczek zatonął w kotle, gotować tak długo, szumując i mieszając ciągle, póki się do połowy nie wygotuje. Jeśli kto chce mieć miód słodszy i mocniejszy, to gotować dłużej, aby tylko trzecia część pozostała. Gdy już ugotowany, przecedzić go jeszcze raz do czystego naczynia i tak zostawić, aż zupełnie ostygnie, potem zlewać w czyste butelki szampanki, lekko zakorkować, żeby butelki nie pękały, gdyż miód robiony tym sposobem bez drożdży, fermentuje, jak wino węgierskie i co rok lepszy się staje, a w smaku jest tak podobny do starego wina, że trudno go odróżnić, w robieniu zaś mniej jest ambarasownym, niż miód na drożdżach, który mu w dodatku nigdy dobrocią nie dorówna.

Butelki wynieść do piwnicy, ustawić na półkach i zostawić w spokoju choć na rok, niech sobie fermentuje, a dopiero potem go używać. Chociaż każdej wiosny będzie przechodził proces fermentacji, będzie co rok lepszy. W taki miód żadnych korzeni kłaść nie trzeba, gdyż one psują dobroć i bukiet miodu.

Kto ma swój własny miód, może użyć do gotowania przepuszczonego przez centryfugę, ale kto kupuje go niech lepiej weźmie miodu z suszem, gdyż ten nie może być fabrykowany, topiony zaś rzadko kiedy jest czysty i wtedy psuje się i fermentuje ciągle.



SZARLOTKA Z RABARBARU.

Zagnieść kruche ciasto z pół kilo suchej maki, ćwierć kilo tłustego masła, lub dobrego szmalcu, jedn. go żółtka, pół szklanki cukru, odrobiny soli, tyleż sody i paru łyżek wody, aby ciasto się nie kruszyło, a dało wałkować. Pół kilo rabarbaru oczyścić starannie z włókien, pokrajać w jak najcieńsze plasterki, wymieszać ze szklanką cukru i łyżką cukru utłuczonego z kawałkiem cynamonu. Płaski rondel wysmarować masłem, wysypać bułeczką. Ciasto rozwałkować cienko, odkrajać kawałek na pokrycie, resztą wyłożyć rondel. Ułożyć rabarbar z cukrem, przykryć resztą ciasta, bardzo starannie zacisnąć brzegi szarlotki, aby sok nie wypływał i upiec w miernie gorącym piecu. Po upieczeniu potrzymać jeszcze kwadrans w otwartym piecu, aby masa rabarbarowa dobrze się przypiekła. Szarlotkę taką można upiec na gazie, lub na primusie w aparacie „Prodige”, proporcja ta jest właśnie obliczona na ten aparat, starczy jej na 6 do 10 osób.

MŁODE KURCZĘTA PIECZONE.

Małe, marcowe kurczątka są najsmaczniejsze w maju i początku czerwca, mięsa jednak mają tak mało, że trzeba je doskonale nadziewać i bardzo starannie piec, aby nie wysuszyć, gdyż wtedy pozostaną tylko zrumienione kostki. Na każde kurczątko dwie łyżki tartej bułeczki zmieszać z surowym masłem na gęstą masę, na dwoje kurcząt dodać jedno żółtko, na dziesięć łyżek bułeczki łyżkę koperku i łyżkę zielonej pietruszki, na koniec ile kurcząt tyle łyżek zimnego rosółu, lub wody, nadziać tem oczyszczonym, wewnątrz i zewnątrz lekko posolonym kurczątka, otwory zaszyć lub zapiąć drewnianą szpilką. Każde kurczę posmarować tłuszczem (nie śmietanką), które wcale nie rumieni i łatwo przypalać masłem, ułożyć na pateini, lub brytwannie i wstawić



w gorący piec. aby się od razu zrumieniły. Polać masłem z brytwanny, na brytwanę wlać kilka łyżek wody, przykryć miską glinianą, lub emalowaną i jeszcze potrzymać w piecu kwadrans, aby wewnątrz doszły. Małe kurczaki podaje się całe. Do nich sałata zielona ze śmietaną, kompot każdy, borówki, lub wprost dobra, gęsta, niezbyt kwaśna śmietana w sosjerce.

RACUSZKI NADZIEWANE.

Z pół kilo mąki trzech deka drożdzy, odrobiny soli i letniej wody zrobić niezbyt gęste ciasto, wybić mocno, włożyć całe duże jajko, ubijać drewnianą łyżką, aż się zrobi pęcherz na cieście, pozostawić aby podrosło. Ugotować jedno, lub dwa jaja na twardo, ugotować dwie łyżki ryżu, jaja usiekać niezbyt drobno, garść szczypiorku przesmażyć w łyżce masła, mieszać z ryżem i jajami, osolić do smaku, kto lubi, może dodać odrobinę pieprzu. Gdy ciasto dobrze wyrośnie, roztopić sporo szmalcu na głębokiej patelni, kłaść po łyżce ciasta, gdy się nieco zasmażą zdołu pokryć każdy racuszek farszem i drugą łyżką ciasta, gdy się dobrze zdołu zrumieni, przewrócić na drugą stronę i zrumienić tak samo. Można zamiast ryżu z jajami użyć każdego innego mięsnego, lub rybnego farszu. Dobra potrawa na kolację. Można też takie racuszki podać do zupy zamiast pasztecików.

JAJA POSZTOWE ZE SZCZAWIOWYM SOSEM.

Dziesięć deka młodego, przebranego szczawiu przepuścić przez maszynkę, zasmażyć w sporej łyżce masła, dodać łyżkę mąki, rozprowadzić rosołem, lub wodą do gęstości zawiesistego sosu, dodać kwaterkę śmietany, osolić do smaku, dać raz zawrzeć i odstawić. W płaskim rondlu mieć wrzącą wodę mocno osoloną, dodać do niej parę łyżek octu. Przygotować dziesięć jaj, wziąć mały spodeczek porcelanowy wybijać nań po jednym jajku i ze spodeczka ostrożnie spuszczać na wrzątek, jak tylko się białko dobrze zetnie wyjmować łyżką. Na salaterkę wlać połowę sosu, na niem ułożyć jajka, zalać resztą sosu i bardzo gorące podawać.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Ażeby wapno, lub farba klejowa od ścian nie opadały trzeba dodać do farby trochę soli kuchennej, a wapno gasić wodą, w której rozpuściliśmy pewną ilość soli.

* * *

Aby świeżo pobielone ściany nie walały odzieni i prędko straciły niemiły odór, wydzielający się z wapna, trzeba je przeciągnąć gąbką maczaną w wodzie gumowej.

KORESPODENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Nauczycielce z Kalisza.

Kursy ogrodnicze są prowadzone dziesięćmiesięczne łącznie z pszczelarskimi w Warszawie Włńska 12. Kurs kończy się 1-go października. Tylko pszczelarskie 3 miesięczne osobno na wiosnę. O jedwabnicze kursy niech Pani zwróci się do „Stacji doświadczalnej hodowli jedwabników w Milanówku” do p. Profesora Witaczka.

Jednej z prenumeratorek.

Crêpe de Chine pierze się najlepiej w mydle „Lux”, które rozpuszczone i rozbite dobiera się letnią wodą i pierze, wyciskając tylko, zmieniając wodę, póki nie będzie czysta. Crêpe de Chine farbuje się najlepiej ze wszystkich jedwabi, lila kolor na ogół wzmacnia się zamoczywszy materiał w mocnym ługu. Co do batystów jest to środek niezawodny, do crêpe de chine'u nie stosowałam tego środka, radziłabym przeto spróbować na kawałku, sądzę, że podniesie również piękność koloru.

Pani A. S. Ostrów siedlecki.

Włóczka powinna być podwójnej grubości tak biała, jak żółta, t. j. zephyr dwunitekowy, kłębek kosztuje 2 zł., więc cała ilość wyniesie 12 zł., kłębki bowiem mają po 50 gr., a potrzeba 6 kłębków, o ile frendzla ma być bardzo długa, to może wyjść o jeden kłębek więcej.

Pani Z. O. J. Jaworzno.

Nie znam warunków materialnych dziecka, o którym Sz. Pani wspomina, również trudno mi wiedzieć, co Pani chce wydać na ten prezent, sądzę, że z kosztowniejszych rzeczy można kupić zegarek, ładny garnitur spinek, jakiś przedmiot srebrny, monetę złotą, która nie traci wartości, pierścione, wogóle coś z rzeczy, które po dłuższym czasie nie tracą wartości, ani nie ulegają zniszczeniu.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Loli z Warszawy.

Mydło alkaliczne Karpińskiego nadaje się doskonale do twarzy łojotokowej. Jeśli skóra przytem się łuszczy, proszę na dzień stosować „Mój krem”, a na noc wcierać twarz spirytusem rezorcynowym 2%. Przytem 2 razy dziennie przypudrowywać „Moim pudrem”, kolor naturalny. Jeśli łojotok silnego stopnia, zamienić mydło na alkaliczne Nr. 2. wyrobu tejże firmy, a sposób leczenia zastosować wedle wskazówek, podanych w „Bluszczu” w artykule „Łojotok”.

Lilijs z Bochni.

Dziwi się Pani, że mimo skóry tłustej, „Mój krem” dał takie cudowne rezultaty, i pyta Pani, dlaczego przy tłustej skórze wcierać należy krem.

Skórę tłustą łojotokową musimy odtłuścić zapomocą środków odtłuszczających. Skóra odtłuszczona staje się szorstką, nierówną i łuszczącą się. Dlatego też po usunięciu łoju stosujemy delikatny krem, w ilościach minimalnych, dla wydelikacenia, wybielenia i ochronienia skóry.

2 słoiczki kremu wysłane, proszę tylko używać go mniej na jeden raz, słoiczek kremu powinien wystarczyć na miesiąc.

Zaklepotanej.

Na pocenie się pod pachami proszę używać codziennie kąpeli z solami aromatycznymi. Następnie na noc zasypać Galmaninem, rano wytrzeć wodą kolońską i znowu zasypać Galmaninem. W razie niemożności użycia codziennych kąpeli, zmywać pod pachami 2 razy dziennie gorącą wodą z dodaniem jednej tabletki soli aromatycznej na 10 litrów wody. Polecieć mogą sole aromatyczne wyrobu Tow. Akc. Fr. Karpiński w Warszawie, jak również tejże firmy Galmanin, środek przeciw poceniu się. Po miesiącu proszę napisać.

Ogrodnicze.

Na wydelikacenie rąk przy pracy w ogrodzie bardzo dobre nadaje się krem ogórkowy wyrobu Tow. Akc. Fr. Karpiński w Warszawie. Trzeba wcierać rano i wieczorem, przy pracy na zimnie po każdym umyciu rąk.

DR. MED. J. ŚWITAŁSKA zawiadamia, że przez maj i czerwiec ordynować będzie od 5—7 codziennie, z wyjątkiem sobót i niedziel. Krucza 31, m. 3; tel. 102-77

Freda.

Na pytanie Pani, który z kremów jest lepszy na wybleśnienie cery Abarid, czy też „Mój krem”, muszę odpowiedzieć z całą pewnością, że „Mój krem”, chociażby dlatego, że jest przeźroczysty, obmyślony, wynaleziony i wypróbowany. Poza tym „Abarid” istnieje już od szeregu lat, a „Mój krem” jest wynalazkiem i zdobyczą najnowszej kosmetyki.

Co do pudru, to uważam, że „Mój puder” jest idealny, wyrabiany ze sproszkowanych roślin, i nie tylko, że nie jest szkodliwy, lecz osłania i wydelikacuje cerę. „Mój puder” wyrabia firma Tow. Akc. Fr. Karpiński w Warszawie we wszystkich kolorach i odcieniach. Cena kremu 6 zł., pudru 3.50. Porto 1 zł.

Młodej matce.

Najlepsze mydło dla niemowląt, jak też i starszych dzieci, jest mydło rumiankowe wyrobu firmy Tow. Akc. Fr. Karpiński w Warszawie.

Maryla Staszów.

Na łuszczenie się skóry proszę spróbować stale używać „Mój krem”, sposób użycia podany przy opakowaniu. Doskonale nadaje się do stałego stosowania, zwłaszcza na wiosnę dla Pań, przebywających na świeżym powietrzu, osłania i zapobiega łuszczeniu się naskórka. Może być wysłany za zaliczką. Cena kremu dotychczas nie ulega zmianie 2 zł. 6.—, porto i opakowanie około 1 zł. „Mój puder” higieniczny 3 zł. 50 gr.

Cieszy mnie bardzo, że lekarstwo zastosowane na włosy dało pożądaną efekt. Proszę nadal je stosować.

Pani Z. ze Stanisławowa.

Jeśli córka Pani jest anemiczna, cierpi na bóle głowy, to nie radzę forsować w gimnazjum, tylko narazie zostawić w tej samej klasie, mimo niezłych postępów w nauce. Wypoczynek letni i odpowiednie leczenie może ją wzmocnić, tak, że następny rok będzie zupełnie dobry. Trudno obecnie przewidywać, w każdym razie wiek przejściowy dla dziewczynki wymaga wielkiej ostrożności i dbałości w wychowaniu. Przez lekceważenie tego okresu można stracić zdrowie i stać się niezdolną do pracy na całe życie.

Pani Celinie z Przemyśla.

Przy oparzeniu lekkiego stopnia wystarczy posmarować maścią borową 30% i lekko przypudrować miejsce oparzone. Gdy oparzenie jest silniejszego stopnia, t. j. skoro występują bąble i głębsze zniszczenia tkanek, należy dać okład kwaśny, t. j. z wody Burowa. Okład zmieniać co 4 godziny pod ceratką. Po paru dniach, gdy oczyści się oparzone miejsce, trzeba przykładać maść borową 2 razy dziennie bardzo grubo na gazę sterylizowaną. Miejsce oparzone obandażować starannie. Poza tym dobrze jest moczyć 2 razy dziennie w wodzie letniej z dodatkiem Kali hypermang.

Rp. Liquor Burowi 100,0

Dos. Łyżka na szklanke przegotowanej wody do okładów.

Kali hypermang. 2,0

Aq. destill 100 0

Ds. Łyżka na miednicę wody do moczenia.

Korespondencyjne Kursy Pszczelnicze w Warszawie

Z inicjatywy Kursów Rolniczych im. Staszica i pod fachowym Kierownictwem Naczelnego Związku Towarzystw Pszczelniczych Rzeczypospolitej Polskiej z dniem 15 maja r. b. zaczynają funkcjonować w Warszawie Korespondencyjne Kursy Pszczelnicze, mające na celu jaknajintensywniejsze popularyzowanie hodowli pszczoł i uprzyświecenie pszczelarzom - praktykom zdobycia względnie uzupełnienia fachowej swojej wiedzy drogą korespondencji. Kierownictwo fachowe Kursów objął p. Stanisław Brzóska, Prezes Naczelnego Związku Towarzystw Pszczelniczych.

Zapisy przyjmuje i bliższych szczegółów udziela Zarząd Kursów, mieszczących się w Warszawie przy ul. Nowy-Swiat 22 m. 34, telefon Nr. 410-42.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 20

428. Suknia z kamizelką z surowego jedwabiu, rękawy z georgette'v.
429. Suknia z kloszowym pałtem z kasha rezedowego, przybrana haftem.
430. Suknia z deseniewego kreponu, z kokardą z tyłu.
431. Ubranka z dwóch materiałów dla chłopczyka pięcioletniego.
432. Suknia z tricoline kolorowej, kołnierzyk i żabot biały.
433. Spódnica układana w fałdy i kamizelka bez rękawów.
434. Spódniczka w kratę i casaque w odpowiednim kolorze nasywany ciemnymi plisami.
435. Suknia z crêpe marocain w dwóch cieniach bois de rose.
436. Suknia z surowego jedwabiu, peleryna z rypsu czarnego.
437. Suknia z tricoline lila, przybrana guziczkami.
438. Sukienka wykończona dzierganymi ząbkami dla dziewczynki dziesięcioletniej.
439. Suknia z tafty czarnej przybrana wyszyciem z paciorków.
- 440-442. Modne fasony kombinacji.
443. Szlafroczek z georgette'y z koronkowym kołnierzem.
444. Kombinacja przybrana haftem.
445. Czepeczek nocny z tiulu i walansjenki.
- 446-447-448. Modne fasony kombinacji.
449. Komplet dziecienny ozdobiony haftem.
450. Spód dla małej dziewczynki przybrany hafcikiem.
451. Kombinacja dla dziewczynki pięcioletniej.
552. Dwie kombinacje dzieciinne.
453. Wzór na lauffer, haft richelieu.
454. Wzór na poduszki, haft i aplikacja.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących: palto, lub suknia fantazyjna zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu” w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelnikom.¹

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących: obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu” nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumeraterek nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.



MYDŁO W PASCIE NISZCZY ŚMIAŁE



DENTOLIN

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW
BEZ DODATKU MYDŁA

MYDŁO W PASCIE NISZCZY ŚMIAŁE
Fr. KARDPIŃSKI w WARSZAWIE



[Chorzy!] Używajcie tylko pewne **[Chorzy!]**
i wypróbowane środki

Tysiące ludzi choroźnie chorych uzdrewiły
od 1002 roku

REFORMACKIE

pigulki z m. Zakonnik



Zalecane przez powagi lekarskie REFORMACKIE pigulki z m. zakonnik radykalnie usuwaja wszelkie cierpienia ŻÓŁTAKOWE, cierpienia NEREK, cierpienia WĄTROBY, KAMIEŃ ŻÓŁCIOWY, cierpienia HEMOROIDALNE, REUMATYZM, ARTRETYZM, bóle GŁOWY, WYRZUTY I LISZAJE, pobudzają TRAWIENIE, APETYT i przy skłonnościach do OBSTRUKCJI są niezastąpionym środkiem PRZECZYSZCZAJĄCYM.

Wzięcie 1 do 2 pigulek na noc. ———— Cena pud. zł. 1.35
Wyrobu apteki KARCEWSKI-TUSZYŃSKI Warszawa, Trębacka 4
Zadać w aptekach i składach z Zakonnikiem

Z PEŁNEMI PRAWAMI SZKÓŁ PAŃSTWOWYCH

Gimnazjum Wł. Giżyckiego

Warszawa, ul. PUŁAWSKA Nr. 113, park Wierzbno.
Tramwaj Nr. 1 i 19. Przystanek w parku szkolnym.
TELEFON 22-99.

Egzamina wstępne: 20, 21 i 22 maja o 4-ej po poł.
21, 22 i 23 czerwca o 9-ej rano

Kilkudziesięciomorgowy park, BOISKA do zabaw i gier ruchowych. Warsztaty do nauki pracy ręcznej, TERENY do nauki ogrodnictwa.

POSIADAMY NA SKŁADZIE

Conrad, Fantazja Almayera	zł. 2.50
„ Smuga cienia	1.95
„ Sześć opowieści	1.95
Dickens, Opowieść wigilijna	— .95
Dumas, Dama kameljowa	— .95
Dygasiński, Gody życia	2.95
Farnol, Na szerokiej drodze	1.95
Gallet, Przygody C. de Bergerac	1.90
Gomulicki, Siódme smen	— .95
Grubiński, Nowele	1.95
Jokaj, Atlantyda	— .95
Junosza, Na bruku	— .95
Kraszewski, Ost. z Siekierzyńskich	— .95
Leroux, Upiór w operze	1.90
Ligocki, Powrót Beatryczy	— .95
London, Odazczępienie	1.95
„ Serce kobiety	— .65
„ Wilk morski	2.85
„ Wyga	— .95
„ Zew krwi	— .95
„ Prawo białego człowieka	— .95
Sieroszewski, Ol - Soni - Kisań	— .95
Stoński, Maj ostatni	1.—
Tetmajer, Anioł śmierci	1.90
„ Księżniczka Metella	2.—
Twain, Król i Osioł	— .95
Wells, Wehikuł czasu	— .95
Wierzyński, Pamiętnik miłości	6.—
Winawer, Lepsze czasy	— .95
„ Znajomek z Fiesole	— .95

PREMIUM!

NASZEGO

DZIAŁU

KSIĘGARSKIEGO

**WSZYSCY ODBIORCY
BIORĄ UDZIAŁ W LO-
SOWANIU**

PIĘKNIE WYDANEJ

MONOGRAFJI

CZAJEWSKIEGO

KRAKÓW

NA KREDOWYM PAPIERZE
Z ILUSTRACJAMI

**BLIŻSZE SZCZEGÓŁY
W POPRZEDNIM NU-
MERZE.**

Z BELETRYSTYKI RODZIMEJ

Dorożyńska, Na ostatniej placówce	Zł. 10.—
Gawalewicz, Dla ziemi	6.—
„ Drugie pokolenie	6.—
Kozicka, Burza od wschodu	12.—
Miciński, Włta	8.—
Orzeszkowa, Anastazja Bene - Nati	5.—
„ Dziurdziowie. Cham.	5.—
„ Gloria victis!	2.50
„ Nad Niemnem 2 t.	9.—
Prus, Anielka	3.35
„ Faraon 3 t.	18.—
„ Lalka 3 t.	17.—
„ Placówka (wyd. pop. 3.75)	6.—
Reymont, Chłopi 4 t. zł 25. w op. pi.	50.—
„ wyd. pop. 9.— w kart.	11.—
„ Pęknięty dzwon	4.80
„ Rok 1794 3 t.	24.20
Rodziewiczówna, Byli i będą	4.—
„ Dewajtis (wyd. jubileuszowe)	6.80
„ Macierz	3.—
„ Pożary i zgłiszczają	4.—
„ Straszny Dziadunio	2.—
Sienkiewicz, Ogniem i mieczem 2 t.	7.60
„ Potop 3 t.	12.60
„ Pan Wołodyjowski	4.80
„ Cała trylogia w oprawie płóciennnej	43.—
„ Rodzina Połanieckich 3 t.	12.—
„ Quo vadis?	4.50
Szczucka, Beatum scelus	3.80
„ Potoga	5.—

Udelikatniają i konserwują
skórę

MYDŁA

Z SILNEMI KWIATOWEMI ZAPACHAMI
PRZETŁUSZCZONE I HIGIENICZNE

Wyrobu Laboratorium Apteki
M. MALINOWSKIEGO

Warszawa, Nowy Świat 31.

177



175



Jedna Łyżka Stołowa do Jednej Bluzki

Jedna łyżka Lux'u rozpuszczona w gorącej wodzie daje obfite i miękkie mydliny. Lux jest oszczędny w użyciu, gdyż jego cienkie, przezroczyste płatki rozpuszczają się całkowicie. W mydlinach Lux'u nie ma ani jednej nierozpuszczonej cząsteczki. W Luxie można prać bez obawy wszystkie delikatne tkaniny. Lux nie skurczy materiałów wełnianych lub flaneli. Lux nie zółci jedwabi.

LUX

KUPON

Do p. REIDA, Skrzynka pocztowa 479, Poczta Główna, Warszawa.

Proszę mi przysłać próbkę mydła „LUX”

Nazwisko i adres

Mydlarnia w której zwykle czynię zakupy

Kupon ważny aż do odwołania.

Każda osoba może otrzymać jedną próbkę.

„Bluszcz”

Przedstawiciel na Polskę fabryk firmy **LEVER BROTHERS LIMITED (Anglia)** L. RBID, Warszawa, Moniuszki 11

Tel. 204-87 i 188-88

Do nabycia we wszystkich sklepach aptecznych i mydlarniach

178

REDAKCJA I ADMINISTRACJA WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE
(PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TELEFON Nr. 239-40. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3.700.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie — 57 zł. 60 gr., kwartalnie — 14 zł. 40 gr.

Miesięcznie — 4,80 gr. Zagranicą — 8 zł.

Zmiana adresu 30 gr.

CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica $\frac{1}{4}$ — 450 zł., $\frac{1}{2}$ str. — 260 zł.,
 $\frac{3}{4}$ str. — 150 zł., $\frac{1}{8}$ str. — 80 zł., $\frac{1}{16}$ str. — 45 zł.,
 $\frac{1}{32}$ str. — 30 zł. Za tekstem o 50 % drożej.
Wkładki reklamowe i reklamy opisowe — według umowy.